Nr. 200. Lwów — Piątek dnia 1 Września. Rok 1899.

Wychodzi w dni powszednie, o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.
Prenumerata: z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct., w Niemczech 1 „ 50 „, w innych Państwach 2 „ — „.

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki.

Ogłoszenia i przedpłatę przyjmuje wyłącznie Administracya we Lwowie.
Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 10 ct. W drobnych ogłoszeniach: tłustym petitem za każde słowo 2 ct., tłustym garmondem „ „ 3 ct., koresp. prywatne „ „ 4 ct. Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . . 30 ct. Reklamy po kronice wiersz petit. 50 ct. Ogłoszenia nad przeglądem politycznym na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 80 ct.

Dziś: 1 św. Idziego Op. Samuela Pr. | Jutro: 2 św. Justa B. Fabiana Ap. | Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.* | Wschód słońca o g. 5 m. 23, Zachód „ „ 6 m. 35 | Długość dnia godzin 13 m. 12, Ubyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 31 sierpnia.

Wszelkiego rodzaju spółki zarobkowe, których cele są najrozmaitsze, dosięgły w naszych czasach niezwykłego rozwoju. Różne są ich nazwy stosownie do głównego zadania, do którego dążą, więc jedne są konsumcyjne, inne finansowe, jeszcze inne produkcyjne, ale ponieważ ostatecznem zadaniem wszystkich jest pewien zysk pieniężny członków czy to w postaci oszczędności, czy też taniego kredytu, czy wreszcie tańszego życia, przeto mogą być zaliczone do jednego typu zarobkowych. Gęstą siecią pokryły one całą Europę, przeszły wszelkie oczekiwania i już podniosły przeciwko sobie sfery kupieckie, przemysłowe i kapitalistyczne. Walka, zaczęta z niemi przez te sfery, świadczy o tem, że chociaż wszystkie i wszędzie powstały podług mniej więcej jednego wzoru, to jednak stosownie do charakteru narodowego członków, jedne rozwijają się silniej, inne słabiej. I tak we Włoszech spółki konsumcyjne i produkcyjne nie wywołały gniewu kupców i przemysłowców, ponieważ ledwo wegetują, natomiast spółki finansowe, dostarczające taniego kredytu rzemieślnikom i małym rolnikom, doszły do takiego rozwoju, że wytępienie ich stało się jednym z celów liberalnego stronnictwa, które też w tym właśnie zamiarze dało takie rozmiary środkom represyjnym po przeszłorocznych zaburzeniach w Lombardyi, Toskanii i Liguryi. Na odwrót w Niemczech kupiectwo podniosło się teraz przeciw spółkom spożywczym, jako przeciw groźnym im rywalom, natomiast spółki raiffeisenowskie i Schultze-delitschowskie, chociaż Germania jest ich ojczyzną, nie rozwinęły się aż do takiego stopnia, iżby zagrażały interesom finansowych instytucyj, obliczonych na zysk. Znowu inaczej w Anglii. Tam ani finansowe, ani konsumcyjne spółki, lecz przemysłowe, konkurujące z fabrykami kapitalistów, wybiły się na czoło ruchu kooperacyjnego i nader poważnie zagrażają wielkiemu przemysłowi, który też zaczął organizować się do obrony. Walka zapowiada się bardzo zacięta, a że niezawodnie będzie skuteczniejsza dla ogółu ekonomicznych interesów narodu, przeto też w przeszłym tygodniu na walnym zjeździe w Londynie przedstawicieli tysiąca sześciuset stowarzyszeń kooperacyjnych spółek przez tego zjazdu, a podsekretarza stanu spraw irlandzkich p. Balfour (brat ministra spraw zewnętrznych) umiał zadziwić spółkom wyodrębić się z pracy przemysłowej, który zawarł ogólne ten zakres działalności stowarzyszeń daje im spore zyski, jednakże samego przemysłu, samej fabrykacyi towarów nie udoskonali, albowiem wszelki podobny postęp zależny od istnienia w zakładach przemysłowych rygoru niemal despotycznego, jednej rozumnej woli dyrektora, będącego „światłym dyktatorem". Oczywiście, takiej dyktatury nie może być tam, gdzie robotnicy są zarazem właścicielami, a zatem doskonałość wyrobów zależna jest w chwili, w której już nie będzie rutyny, lecz wypadnie szukać nowych pomysłów. P. Balfour nie wspomniał o fantazyach robotników-współwłaścicieli, bo wiedział, że angielscy robotnicy nie podlegają swym chwilowym fantazyom. Zresztą p. Balfour mógłby o tem wspomnieć p. Balfour, gdyby naprzykład przemawiał do robotników francuskich. Rozumowanie jego tak się streszcza: fabryki będące własnością samych robotników, przy ich swym zysku, jednakże nie mogą dorównać fabrykacyi i szkodzą fabrykantom-kapitalistom, zatem szkodzą w ogóle przemysłowemu życiu Anglii, a ponieważ wszelkie kooperacyjne główne ich dążą o zysk, ten zysk nie będzie mógł zaradzić niedostatkom i zaniedbaniom w kraju, przeto w imię interesu krajowego trzeba zaprzestać przemysłowej kooperacyi robotników. I tak, z chwilą, gdy rozwój spółek doszedł do wysokiego stopnia, sfery kapitalistyczne zaczęły z niemi walczyć, ale wszędzie uderzają w inną kategoryę związków: w jednym kraju w kredytowe, w innym w konsumcyjne, a w jeszcze innym w produkcyjne, pozostawiając resztę spółek w spokoju, jako nieszkodliwe dla siebie. Ta ich nieszkodliwość głównie się tłomaczy nie tem, że w każdym z tych krajów odmienne ustawodawstwo, lecz tem, że inny narodowy charakter. Dowodem — Szwajcarya. We wszystkich jej kantonach, pomijając podrzędne odmiany, ustawodawstwo jest jedne, ale są trzy narodowości i oto w kantonach niemieckich najsilniej się rozwinęły stowarzyszenia spożywcze, jak w Niemczech; w kantonach włoskich rozkwitły najlepiej związki kredytowe, jak we Włoszech; a w kantonach francuskich widzimy zupełnie taki sam układ stosunków, jaki istnieje we Francyi. Stąd prosty wniosek, który po raz tysiączny można wyciągnąć z teraźniejszej walki, wypowiedzianej spółkom przez sfery kapitalistyczne, że żaden ogólny wzór nie może być jednakowo dobry dla wszystkich narodów i że dla każdego będzie najlepszym ten, który wyłoni się z narodowego charakteru, albo jeżeli będzie wzięty skądinąd, to zostanie przystosowany do tego charakteru.

W Rosyi powstała teraz nowa forma zarobkowania na roli i jest zalecana przez takie dzienniki, jak *Warszawskij Dniewnik*, *Wołyń*, *Siewiero-zapadnoje słowo*, jako zbawienna dla bezrolnym wieśniakom. Tę nową formę stworzył na zadnieprzańskich stepach p. Lewitski. Zbiera on wieśniaków bezrolnych, szukających zarobku na folwarkach lub u zamożnych kmieci, tworzy z nich spółkę, która wybiera na rok naczelnika zupełnie samowładnego, i następnie wydzierżawia jakieś dobra. Jeżeli członkowie spółki, nazywającej się po rosyjsku „artielą", mają pieniądze, to wkładają je w przedsiębiorstwo; jeżeli ich nie mają, to p. Lewitski im kredytuje. Po każdej kampanii rolniczej następuje obrachunek, rozdział zysków, poczem „artiel" dalej pracuje pod komendą tego samego „artielszczyka" (bo tak się nazywa naczelnik spółki), albo pod zwierzchnictwem innego. Przed kilku laty, kiedy p. Lewitski począł tworzyć takie spółki, powszechnie wróżono im niepowodzenie. Mówiono, że wprawdzie artielna forma zarobkowania zdawien dawna istnieje w Rosyi i znakomicie odpowiada charakterowi narodowemu, a w ostatnich czasach, wskutek silnego poparcia ze strony rządu, stała się w wielu razach nawet obowiązkową, jednakże dobrą jest wtedy wyłącznie, gdy chodzi o wykonanie jakiejś nieskomplikowanej roboty, naprzykład o zbudowanie murów, wykopanie rowów, noszenie ciężarów na dworcach kolejowych i t. d. Lecz gdy chodzi o przedsiębiorstwo tak urozmaicone, jak gospodarstwo na roli, gdzie potrzeba być potroszę i kupcem i agronomem i hodowcą bydła i finansistą, wówczas „artiel" nie dopisze. Nie sprawdziły się jednak te przepowiednie, bo spółki p. Lewitskiego rozwinęły się tak doskonale, że rząd, widząc w nich rozwiązanie kwestyi bezrolnych wieśniaków, postanowił teraz użyczyć im silnego poparcia finansowego. Otóż wymienione wyżej pisma rosyjskie, wydawane w ziemiach polskich, zalecają zastosowanie tej formy do naszych stosunków, jako doskonały sposób usunięcia wielkiej liczby chłopów bezrolnych. Sposób ten byłby rzeczywiście doskonały, jeżeliby się okazał właściwym dla charakteru naszego ludu. Obawiamy się jednak, że tak nie jest. W narodzie rosyjskim jednostka zupełnie znika za ogólnym celem, wolę swą przelewa na zwierzchnika i staje się jego powolnem narzędziem; u nas przeciwnie, jednostka nigdy się nie wyrzeka swych praw i jeśli słucha obranego zwierzchnika, to jakby z łaski, jakby dla sportu, i dopóki się podoba. W Rosyi do każdej sprawy wnet każdy się zastosuje, co świetnie wykazał Turgieniew w swej powieści „Dym", gdzie jaskrawi przeciwnicy samowładztwa po prostu czarodziejskim sposobem zmieniają się w typowych czynowników natychmiast po otrzymaniu posady; przeciwnie u nas do każdej sprawy trzeba szukać odpowiednich temperamentów. Nasz indywidualizm czyni to, że we wszystkich naszych pracach społecznych przebija artyzm, przeciwnie zaś w Rosyi głównem znamieniem tych prac jest matematyczna ścisłość i zarazem geometryczna suchość. Nie sądzimy tedy, aby obmyślona przez p. Lewitskiego forma załatwienia sprawy bezrolnych wieśniaków wydała u nas takie pomyślne rezultaty, jak w Rosyi. Stać się tu może to, co opisaliśmy wyżej, mówiąc o spółkach ekonomicznych na zachodzie. Lecz próby są możliwe i jeżeli kto do nich się weźmie, niech mu szczęście służy, ponieważ zacne są wszelkie zabiegi o ulżenie niedoli bez czyjejkolwiek krzywdy.

Wiec katolików niemieckich odbywa się w górnoszląskiem mieście Nyssie bez udziału Polaków. Pierwszy to raz odkąd istnieje katolickie centrum, nastąpił tak wyraźny rozłam między niem a Wielkopolanami. Sojusz ich, zawarty w 1873-cim, przetrwał wojnę religijną, ustawy majowe, rządy Falka, Puttkamera i Bismarka, aż się począł rozluźniać pod wpływem hakatyzmu, którem nieco się zaraziło prawe skrzydło katolickiego obozu, złożone ze szląskich deputowanych niemieckich. Niezawodnie przykro było tym deputowanym, że Szląsk się polszczy, ale jeszcze bardziej niż to, wpływała na ich taktykę tradycyjna skłonność do wysługiwania się Berlinowi, skłonność zrozumiała, bo przecież Hohenzollernom zawdzięczają swe fortuny na polskiej ziemi i swe tytuły. Krępował ich Windhorst, po nim zaś Schorlemer, chociaż już mniej, ale gdy ich nie stało, a w dodatku hakatyzm uczynił polonofobię niejako obowiązkiem niemieckiego patryotyzmu, sojusz się rozkleił zupełnie. Centrum już kilka razy głosowało przeciw Kołu polskiemu. Nareszcie nadszedł wiec w Nyssie, jako próba usposobienia centrum względem naszej narodowości. Zrazu ono całkiem nas pominęło, potem zaś, w skutek naszych protestów i nagany ze strony Niemców nadreńskich i w ogóle niepruskich, dało nam jeden „dzień roboczy", czyli dzień robotników polskich, ale tego nie można było przyjąć, ponieważ stanowimy naród, a nie samą tylko rzeszę robotników. Niemcy nie poczynili dalszych ustępstw, a nasi nie odstąpili od żądania równorzędności i oto w rezultacie jest rozbrat.

Zjazd archeologow w Kijowie.

Główne prace wielkiego zjazdu archeologów w Kijowie zostały już wyczerpane. Najbardziej zajmującem posiedzeniem dni ostatnich, było posiedzenie sekcyi starożytności południowo- i zachodnio-słowiańskich, odczyty bowiem tam wygłoszone poruszały ważne dla Słowian kwestye historyczno-geograficzne i wkraczały w dziedzinę interesujących hipotez. I tak np. czeski uczony prof. Zuber Niederle miał referat pt. „O czasie rozchodzenia się Słowian na południe przez Karpaty", w którym wypowiedział zapatrywanie, że kolebką i ogniskiem wędrówki Słowian jest kraj, położony między Wisłą, Karpatami a środkowym Dnieprem. Co zaś do czasu, w którym Słowianie zjawili się na południowych stokach Karpat, to profesor Niederle utrzymuje na podstawie swoich archeologicznych poszukiwań, że stało się to jeszcze przed naszą erą, podczas gdy historya dotąd przypuszczała, że Słowianie przybyli nad środkowy Dunaj dopiero w wieku 6-tym po Chrystusie. Odczyt ten, znakomicie opracowany, wywołał wielką polemikę, wielu bowiem uczonych, między nimi znany historyk rosyjski profesor Iłowajski nie mógł się zgodzić na wnioski prelegenta, chociaż samym jego poszukiwaniom nie zaprzeczał doniosłej wartości.

Prof. Antonowicz w odczycie „O epoce kamiennej na Wołyniu" dał obraz poszukiwań archeologicznych z tego okresu na Wołyniu. Dotychczas znaleziono tam około 300 osad i tzw. „pracowni" z okresu kamiennego."

Słowo „pracownia" nie jest tu użyte w znaczeniu przenośni jakiejś, prof. Antonowicz bardzo zręcznie bowiem dowodził, że człowiek tego okresu w istocie posiadał prawdziwe fabryki, pracownie, gdzie wyrabiał i naprawiał swoje narzędzia. Prelegent pokazywał zebranym np. młoty kamienne, które widocznie były naprawiane, gdyż część złamana przy otworze młota była odpolerowana, otwór zaś drugi wywiercony w innem miejscu. Następnie prof. Antonowicz dał charakterystykę rozmaitych typów obrzędów pogrzebowych epoki kamiennej na Wołyniu. Poszukiwania własne prelegenta, oraz archeologów polskich: Ossowskiego, Radzimińskiego i t. d., dostarczyły w tej mierze dużo materyału. Typy grzebania były rozmaite; niekiedy palono nieboszczyków, popioły zbierano w naczynia, które umieszczano w drewnianych skrzyniach, zakopywano w ziemi i okładano kamiennemi płytami. W tym wypadku na powierzchni ziemi żadnych oznak cmentarnych nie ma. Drugi typ grzebania jest kurhanowy. Kurhany nie są zbyt wzniesione, a szkielety, w nich odnajdywane, mają zazwyczaj podstawę skurczoną i leżą na boku. Odczyt prof. Antonowicza pozwolił także uczestnikom Zjazdu wniknąć w byt społeczny człowieka okresu kamiennego, kiedy to nasz praprzodek, słaby jeszcze wobec natury, z powodu kruchości narzędzi swoich, łączył się w związki i grupy mniejsze w celu wspólnej obrony, zamieszkując t. zw. „horodyszcza", znane dobrze tym, którzy zwiedzali Wołyń.

Resztę posiedzenia zajęły dwie bardzo dobre prelekcye o Kozaczyźnie. Pierwszą z nich p. t. „O pochodzeniu południowo ruskiej Kozaczyzny" wygłosił profesor kijowskiego uniwersytetu Daszkiewicz. Rzucił on w tej pracy nowe światło na sporną kwestyę, kiedy właściwie powstają organizacye wojenne, złożone z t. zw. „kozaków"? Pod nazwą tą rozumie p. Daszkiewicz, zgodnie z polskim uczonym Jabłonowskim, ludzi, „którzy się puszczają na śmiałe przedsięwzięcia". Początków czysto wojennej organizacyi kozackiej, szuka prof. Daszkiewicz w podolskich sielskich „obszczynach", które miały cele przemysłowe, (n. p. rybactwo), jednakże zmuszone się bronić od częstych napadów, nosiły też charakter wojenny. Z takich przemysłowo-wojskowych związków, które miały swoich wybieralnych naczelników „watamanów", rozwinęły się w XIV w. organizacye kozackie. Do 1480 r. nie odgrywają one znaczniejszej roli, dopiero od końca XV w. rozwój kozactwa zaczyna postępować, zwłaszcza od kiedy polscy panowie zaciągający się w regestra kozackie, zaszczepili w kozactwo idee rycerskie.

Drugi odczyt na temat Kozaczyzny, poniekąd uzupełniający prelekcyę prof. Daszkiewicza, miał prof. Ewarnicki p. t. „Topografia siczy zaporoskich podług nowych archiwalnych źródeł". Zapatrywania prof. Ewarnickiego na kwestyę, gdzie mieli kozacy swe pierwotne siedziby, były następujące:

Jak wiadomo istniała sicz nie jedna, kozacy zmieniali bowiem miejsca swego pobytu z powodu rozmaitych przyczyn, n. p. grasującego morowego powietrza itp. Najwcześniejszem miejscem skupienia się kozaków była wyspa Chortyca, na której przebywał głośny w dziejach Ukrainy i opiewany w starych dumach Dymitr Wiśniowiecki, znany u kozaków pod nazwiskiem „Bajda".

Wysp, zwanych Chortyca, było dwie. Obecnie jedna tylko większa nosi to miano.

W bliskiem sąsiedztwie Chortycy znajduje się druga wyspa mniejsza, zwana dziś „Kancerski Ostrów". Długo trwała niepewność, na której z tych wysp przesiadywali kozacy. Niepewność ta wyjaśniła się w ostatnich czasach dzięki temu, że p. Ewarnicki wynalazł w archiwum moskiewskiem plany rękopiśmienne siczy zaporoskich. Na ich podstawie stanowczo twierdzi p. Ewarnicki, że dzisiejszy „Kancerski Ostrów" jest niezaprzeczenie ową Małą Chortycą, na której w r. 1594 gościł Eryk Lassota von Steblau, wysłany do kozaków przez cesarza Rudolfa II.

Z Chortycy kozacy przenieśli się na Tomanówkę, następnie osiedlili się na Mykitynym Rogu, w miejscowości, zajmowanej teraz przez powiatowe miasto Nikopol. To była właściwie pierwsza sicz. Do niej przyjeżdżał Bohdan Chmielnicki w przededniu nieszczęsnych walk, rozpoczętych w 1644 roku. Drugą z kolei była sicz Czortomłycka czyli Stara. Ślady fortyfikacyj, otaczających tę drugą sicz, zachowały się dotąd na prawym brzegu Dniepru u ujścia rzeczki Czortomłyka, a nawet jeszcze teraz widzieć tam można we wsi Kapołówce, wśród zieleni włościańskiego sadu, mogiłę sławnego koszowego kozackiego Iwana Sirka.

O pochodzeniu nazwy Czortomłyk opowiedział prelegent następującą miejscową legendę:

„Dawnego razu kozak, idąc nad brzegiem rzeki, ujrzał dyabła. Szatan pluskał się w wodzie i drażnił kozaka, kiwając nań ogonem. Obrażony kozak zawołał:

— Co to, żeby mnie *zaporożkomu łycaru czortiaka śmiła pokazuwaty chwost?*

Dobył *pistulu* i do dyabła *bać!* a czort *młyk!* do wody i od tego czasu rzeczka otrzymała dzisiejszą nazwę".

Stara sicz istniała do r. 1709. W roku tym, jak wiadomo, Piotr Wielki, pobił Karola XII pod Połtawą, a ponieważ Kozacy pod dowództwem Mazepy popierali szwedzkiego króla, rozkazał zwycięzki car zburzyć sicz do szczętu. Rozkaz został dosłownie spełniony przez Jakowlewa, przy pomocy pułkownika Gałagana, byłego Zaporożca. Rozbite kozactwo schroniło się do ziem krymskiego chanatu. Za panowania carycy Anny kozacy uzyskali pozwolenie powrotu i w r. 1734 założyli nową sicz, niedaleko zgliszcz starej. Ostatnie to kozacze siedlisko trwało jednak zaledwie czterdzieści lat, z rozkazu bowiem carycy Katarzyny II zniesiono tę oryginalną drużynę, która już siebie przeżyła i w dniu 4 czerwca 1775 generał Tekeli zajął sicz bez wystrzału.

Od tej chwili imię Zaporożców znika na zawsze z kart dziejowych. Pozostały po nich tylko barwne legendy i dumy o sławnych rycerzach siczowskich, brzmiące dotąd nad brzegami sinego Dniepru-Sławuty.

List do Redakcyi.

(W sprawie kursu listów zastawnych Towarzystwa kredytowego).

Od jednego z obywateli otrzymujemy następujące pismo:

W niedzielnym numerze *Ruchu katolickiego* znalazłem na naczelnem miejscu alarmujący artykuł o spadku kursu listów zastawnych galic. Towarzystwa kredytowego ziemskiego, którego autor zapewne w najlepszej myśli daje zarządowi tego Towarzystwa dosyć surowe upomnienia, ażeby opiekował się kursem swych listów i miał w Wiedniu kogoś, ktoby „nieznacznym" kosztem zajmował się losem emisyi listów Towarzystwa kredytowego i dla podtrzymania ich kursu skupował w razie zaofiarowania każdą ich partyę, wystawioną na sprzedaż. Powiedziano dalej, że opieka taka jest teraz tem bardziej potrzebna, iż kursowi tych listów grozi bardzo poważne niebezpieczeństwo, gdyż sama Holandya posiada ich za 10 milionów, a posiadacze tamtejsi zaczynają niecierpliwić się i grożą, iż sprzedadzą cały ten ogromny zapas galicyjskich papierów.

Artykuł ten wprawił mnie w niemałe zdumienie, gdyż i cyfry przytoczone w nim nie zgadzają się z rzeczywistością i rady w nim zawarte są niewykonalne, wreszcie skutek jego może być wręcz przeciwny od zamierzonego. Intencyą autora było niezawodnie sprawić to, ażeby kurs listów Towarzystwa kredytowego na targach pozakrajowych poprawił się, tymczasem, gdyby wywody jego trafiły do przekonania ogółu, to dożylibyśmy skutku wręcz przeciwnego, mianowicie, że nie tylko zagraniczne giełdy nie byłyby łaskawsze dla naszych papierów, ale i krajowy targ zniechęciłby się do nich. Bo oczywiście, jeżeli się krajowych posiadaczy listów nastraszy zapowiedzią, że Holandya rzuci na targ za 10 milionów naszych listów, w takim razie oni, wiedząc, że wystawienie na sprzedaż tak ogromnej partyi jednego papieru, musi wywołać znaczny spadek jego kursu, sami będą go sprzedawali, chociażby tylko w tym celu, ażeby po pewnym czasie odkupić go po tańszej cenie i zarobić na różnicy kursu. Rzucenie więc podobnego alarmu uważam za rzecz wielce niewłaściwą, w tym wy-

---

KWIAT PRZYJAZNI.
(FANTAZYA).

Czułem pustkę w sercu, — pustkę w głowie, w duszy ból taki, iż zdawało mi się chwilami, że rzucę się na ziemię i jak zranione zwierzę wyć będę, lub skroń o skałę przydrożną roztrzaskam. Wyszedłem, a raczej wybiegłem z domu, chcąc uciec od wspomnień i myśli, które mi czaszkę rozsadzały, które odpędzałem daremnie, a one uparcie wiły się, wracały i w mózg mi się wżerały. Czy się czułem nieszczęśliwym? — nie wiem! Czułem się zły, wściekły, rozbolały, a chwilami tak bezsilny! W około siebie widziałem jedno bezdenne morze nicości, fałszu czczego, blichtru, i pytałem siebie, gdzie jestem właściwie, czy na tej planecie, która się ziemią nazywa, gdzie przecież dotychczas prócz zbrodni, widziano i cnoty, prócz podłości spotykano i szczytne poświęcenia dowody, prócz tchórzostwa heroizm nieraz do zenitu posunięty. A obecnie nie widziałem nic z tego, nie spotykałem nic, coby prócz niesmaku, niechęci, wstrętu i pogardy w duszy mej echem nadziei lepszej przyszłości odbić się mogło. — Nic! — i to uczucie nicości w około siebie samego, ta próżnia w sobie samym, to wielkie nic, które i mnie wszechpotężnie w szpony swe porywało, było tak wielkie, tak olbrzymie, tak druzgocące, że daremnie wyciągałem błagalne dłonie, by uchwycić jakąś iskierkę złotą, któraby mi życie znośniejszem uczynić mogła.

Szedłem — nie wiedząc dokąd idę, dokąd dążę, kroki me mimowolnie w dzikie rozpadliny skał kierując, unikając widoku istot żyjących, które uosabiały przed mojemi oczyma mgłą zniechęcenia zaszłemi fałsz i podłość i przewrotność.

Szedłem — a kamienie pod mojemi stopami staczały się z głuchym łoskotem w przepaści bezdenne, a ja zazdrościłem im i tej siły z jaką leciały i tego znieczulenia z jakiem się odbijały o sterczące skał wierzchołki i tego wielkiego spokoju, jakiego doznają, spadłszy tam, na dno, choćby w błoto ciemne i czarne i mętne.

Szedłem — a wiatr gorący palił mi czoło, wżerał się w oczy, muskał spieczone wargi wykrzywione kurczem bolu i szyderstwa i świstał mi w uszach śmiechem szatańskim, którego echa rozchodziły się, potężniały, odbijały się od skał niebotycznych i powracały do mnie, jakby się naigrawając z mej bezsilności, z mej bezbrzeżnej nicości.

Żadne ptasze nie przeleciało nad głową moją, snać unikając tego świata śmierci, który był we mnie i w około mnie, tej pustki zimnej, tajemniczej, jaka wiała od skał tych ciemnych i od zbolałego serca mego.

Jak długo szedłem — nie wiem — ocknąłem się uczuwszy na czole chłód miły spadającego liścia, słysząc w około dziwne, niewyraźne tajemnicze szepty. Podniosłem oczy, stąpałem wąską ścieżyną, skały ponure znikły, otaczała mnie zieleń i moc kwiatów o barwach olśniewających, o woni upajającej. Zdawały się pochylać ku mnie miłośnie lub lubieżnie, zalotnie lub smętnie, nęciły, przyciągały, wabiły. Była tam i róża purpurowa, która swe aksamitne listki pod usta me podsuwała, była i lilia biała, która wstydliwie łodygą potrząsając moją uwagę na się zwrócić usiłowała, był i narcyz żółty, szczerzący ząbki zazdrości, skoro mimowolnie me spojrzenie na którym z innych kwiatów się zatrzymało. Była i sentymentalna niezapominajka, wieczystą miłość ślubująca. A cała ta kwiecista gromada cisnęła się do stóp moich i szeptała: „Kochaj!" — „Daj się kochać!" — „Zerwij mnie!" — „Mnie wybierz!" — „Dam ci rozkosze nieznane!" — „Ja szału upojenie!" — „Ja miłość prawdziwą!" — „Ja lwicy zazdrość, jako dowód uczucia niezwykłego!" — „Ja poświęcę me życie dla ciebie!" — „A ja moje dziewictwo!"

Słyszałem to wszystko, ale szedłem zwolna dalej, nie zatrzymując się wcale, obojętny, nieczuły na zalotne ich umizgi, a gdy spojrzenia moje zimne, mrożące, padały bezwiednie na ponętne kwiaty, wtedy słyszałem za sobą szepty: „Bez serca!" Uśmiechałem się gorzko. Ja bez serca! ja, któremu to serce na strzępy rozdarto, zmiażdżono!... tak, dziś byłem bez serca! — Ach! znałem ja i te spojrzenia nęcące, i uśmiechy dziewicze, i słowa namiętne, znałem to wszystko i przeklął em.... na wieki!... Ja bez serca!... bez serca!... ach! tak, dość przebolałem, by je ze siebie wydrzeć, by na miejscu jego było to wielkie, zabijające nic!

Kwiaty!... i cóż mi po kwiatach!... albożich mało w życiu zrywałem! od najpiękniejszej róży do skromnego fiołka, tyle ich przechodziło przez ręce moje, a wszystkie więdły tak prędko i pozostawała — łodyga sucha, — czasem ciernie krwawiące, — czasem szczypta szarego popiołu, a czasem — nic! — to straszne, drażniące, wszechpotężne, bezdenne nic!

Nie! nie! — i po trzykroć nie! — nie chcę już kwiatów, ani ich woni upajającej, ani szaty nęcącej, nie chcę patrzeć ani na drżenie ich listków, ani na rosy krople, ani słuchać szeptu tajemniczego! — nie! — precz odemnie! na wieki, na zawsze!...

— Wstrzymaj się! — usłyszałem szept nieznany mi dotychczas, a choć był tak cichy, jak powiew wiatru wiosennego, tyle w nim było jakiejś siły tajemniczej i melodyi cudownej, że stanąłem zdziwiony sam tem, iż głos ten zatrzymać mnie zdołał. Spojrzałem zdumiony; obok mnie nikły, mały, niewidziany dotychczas kwiateczek, o mdłej szaro-niebieskiej barwie, listkach cieniuchnych, podnosił swą giętką łodygę, roztaczając słodką, subtelną woń dokoła i smętnemi, spokojnemi oczyma do miejsca mnie przykuwał.

— Wstrzymaj się! — powtórzył raz jeszcze — i mnie zerwij! dam ci zapomnienie bolów i trosk i zawodów przebytych, dam ci spokój, — a pustkę, uczucie nicości, która cię zabija, ja zapełnię!

Uśmiech ironiczny ust, błysk szyderski w oczach był mą odpowiedzią. Ja miałem wierzyć szaremu kwiatkowi, odrzuciwszy tyle wonniejszych i piękniejszych współbraci? Lecz łodyga wydłużyła się, u nóg mych się kładąc, a kwiatek głosem omdlałym, lecz śpiewnym, zaszeptał znowu:

— Zwę się Przyjaźń, — zerwij mnie!

A było tyle serdecznej prośby w tym okrzyku i tyle zaparcia się i pokory w tem ścieleniu się do stóp moich i tyle prawdy w tym głosie smętnym, żem uwierzył; schyliłem się, zerwałem kwiatek uroczy, do ust podniosłem i.... i zabrałem go do domu, jako skarb najdroższy, a kwiatek szary dotrzymywał słowa, dał mi zapomnienie, dał mi spokój, dał mi odrodzenie ducha, dał mi zapełnienie pustki przygniatającej, która mnie gnębiła, dał mi zwalczenie uczucia nicości, druzgocącego całą moją istotę, dał mi świadomość siebie, dał mi wiarę w przyszłość, a dziś na sercu go nosząc, choć w miłość dawno wierzyć przestałem, — wierzę w uczucie, które je przewyższa, — wierzę w przyjaźń!

Antonina Gedrojć-Matuszewic.

padku zaś o tyle niewłaściwszą, że alarm ten wywołany został fałszywą pogłoską. Nie tylko bowiem niema Holandya listów zastawnych galic. Towarzystwa kredytowego za 10 milionów, ale nigdy ich nie miała. Nie ma ich ani za dwa miliony, a nawet i do jednego miliona zabraknie jeszcze kilkuset tysięcy.

Giełda wiedeńska jest widocznie pod tym względem lepiej poinformowana, niż autor artykułu, to też tam rozgłaszanie podobnej baśni nie wywarło żadnego wrażenia, kurs naszych listów zastawnych spadł wprawdzie w ciągu ostatniego roku, ale dlatego tylko, że wogóle wszystkie walory lokacyjne spadły. Pod tym względem nie robi giełda dla Galicyi żadnego wyjątku i nie zrobiłaby go nawet w tym razie, gdyby Zarząd Towarzystwa choćby i dziesięć milionów gotówki ofiarował na podtrzymywanie kursu. Zwrócić muszę w końcu uwagę jeszcze na jedną okoliczność, przemawiającą za tem, ażeby dziennikarstwo polskie w interesie całego kraju unikało wszystkiego, co może za granicą wzbudzić nieufność do Galicyi i aby wszystkiemi siłami starało się o utrzymanie krajowego targu dla krajowych emisyj. Oto Galicya w ostatnich latach za dużo uciekała się do kredytu. Przed laty ośmiu stosunki były pod tym względem o wiele lepsze i były minister Steinbach nie bez racyi powiedział w rozmowie z pewnym polskim deputowanym, że w porównaniu z Węgrami jest Galicya w nierównie lepszem położeniu, gdyż wszystkie swoje emisye ma u siebie w domu. Słusznie powiedział, ten tylko bowiem kraj jest bogaty, który chociaż ma długi, ale z drugiej strony ma także oszczędności co najmniej im dorównywające, tak, iż każdej chwili może swe długi pokryć oszczędnościami. Tak było u nas przed laty ośmiu jeszcze, dziś jednak zmieniły się stosunki. Rzuciliśmy na targ cały szereg nowych emisyj: pożyczkę krajową, pożyczkę propinacyjną, pożyczkę miasta Lwowa, obligacye kolejowe, listy zastawne Banku krajowego, Banku hipotecznego, Towarzystwa kredytowego, obligacye komunalne itp. Wobec takiego nawału nowych papierów nie mógł kraj nastarczyć oszczędności i zadłużyliśmy się za granicą na jakich 200 milionów. Ta suma nisko-oprocentowanych papierów galicyjskich jest dziś, gdy publiczność wogóle odwraca się od papierów lokacyjnych, ciężarem dla targów zagranicznych i nie ma się czemu wcale dziwić, że papiery nasze wracają do kraju; idzie tylko o to, aby nie wracały hurmą, lecz pomału. O tem wszakże powinniśmy pamiętać, że kraj tak zadłużony, jakim jest obecnie Galicya, powinien dokładać wszelkich starań, aby nie wzbudzać nieufności swych wierzycieli, a ustawiczną krytyką i zniesławianiem najuczciwszych instytucyj tylko ich spłoszymy.

Ziemianin.

* * *

Przypisek Redakcyi. Z wywodami powyższymi najzupełniej się zgadzamy i to tylko dodać możemy, że w tem, iż kurs listów zastawnych porwany ogólno-europejskim prądem i podrożeniem pieniędzy, obniża się, nie widzimy dla kraju naszego żadnego nieszczęścia. Niewygodnem to może być dla tych nielicznych obywateli, którzy właśnie teraz chcieliby zaciągnąć nowe pożyczki, bo stracą kilka procent na kursie listów. Kto jednak niema noża na gardle, ten zaczeka z zaciągnięciem pożyczki aż do chwili, gdy stosunki ułożą się normalnie. Natomiast ogół mieszkańców Galicyi może tylko skorzystać z obecnego okresu deprecyacyi papierów stale oprocentowanych, a skorzysta tem więcej, im niższy będzie ich kurs, gdyż nasyłane z zagranicy nasze papiery nabywać będzie mógł po taniej cenie. Dlatego właśnie nierozsądnie robią te instytucye krajowe, a zwłaszcza jedna z nich, która wszystkie niemal rozporządzalne fundusze obraca na zakupno własnych listów na giełdzie wiedeńskiej, by przez to sztucznie podtrzymać ich kurs. — Zanadto ubodzy jesteśmy, byśmy mogli stawić czoło tak żywiołowym prądom jak obecny i wyrzucali na tak bezowocną walkę pieniądze, których tak mało mamy.

W sprawie złej gospodarki miejskiej.

Niedawno zamieściliśmy parę artykułów, omawiających anarchię w naszym zarządzie miasta i podnieśliśmy tam kwestyę zaprzysiężenia obu wiceprezydentów. Pomijając jednak tę kwestyę, zresztą czysto jurydyczną, jakoteż sprawę zatwierdzenia prezydenta miasta na nową kadencyę, musimy zaznaczyć, że w działalności naszego zarządu miejskiego, dostrzegamy teraz w ogóle pewien brak energii lub pewne osłabienie woli. Udowodnimy to na kilku przykładach.

I tak w pierwszym rzędzie uderza wszystkich nadzwyczajnie powolne tempo robót wodociągowych. Jesień się już zbliża szybkimi krokami, za półtora lub za dwa miesiące rozpocznie się sezon nieustannej słoty, przed którą wszystkie roboty miejskie powinne być ukończone, a tymczasem końca tych robót nawet spodziewać się nie można, bo jeżeli zakładanie rur wodociągowych będzie szło tem samem tempem jak dotąd, to co najmniej połowa Lwowa znajdzie się z chwilą nastania deszczów w stanie rozkopanym. W ogóle wszystkie roboty tegoroczne są leniwo prowadzone, np. dolną część ulicy Sykstuskiej, mającą około 200 metrów, brukuje magistrat jeszcze od wiosny a mimo to dopiero z połową tej ulicy się uporał. Jeżeli zaś sobie uprzytomnimy, że na wybrukowanie tak krótkiej przestrzeni, jak dolna połowa ulicy Sykstuskiej, wystarczyłoby 2 tygodnie czasu, to będziemy mieli wyobrażenie jak żółwim krokiem roboty na tej ulicy się posuwają. Nie lepiej także są prowadzone wszystkie roboty wodociągowe: kopie się doły na rury, potem się rury zakłada, przyczem doły są otwarte całe tygodnie, wreszcie zaczyna się ich zasypywanie, które jednak idzie tak opieszale i niedbale, że część odsypanej ziemi lub cały zasyp zostaje na bruku, a ponieważ bruku lub trotoaru jeszcze się nie naprawia, więc po każdym deszczu tworzą się w takich miejscach fotmalne bagniska. Ładna perspektywa na jesień!

To jeden przykład, a teraz drugi. W piątek mija rok, jak miasto objęło zakład gazowy w swój własny zarząd. Na całym świecie każdy przedsiębiorca, posiadający jakąś fabrykę i wyrabiający w niej jakiś produkt, stara się o rozpowszechnianie tego produktu: więc i miasto zostawszy właścicielem fabryki gazu w dobrze zrozumianym własnym interesie powinno było natychmiast starać się o zdobycie jak największej liczby konsumentów tego gazu, w pierwszym zaś rzędzie powinno było nakłonić samo siebie do konsumowania go w większej ilości niż dotąd. Tymczasem rok minął a miasto ani o jeden metr nie rozszerzyło sieci rur gazowych i oświeca jeszcze ciągle ulice Lwowa wstrętnemi, przypominającemi Pacanów lampami naftowemi, płacąc za naftę nadzwyczaj drogo przedsiębiorcy, który lampy i późno zapala i wcześnie gasi, a daje materyał tak kopcący, że ulice są jakby wcale nie oświetlone. I jakże to pogodzić ze zdrową logiką? Przecież każdy rozumie, że miasto powinno było natychmiast po objęciu gazowni wypowiedzieć kontrakty wszystkim przedsiębiorcom oświecania ulic naftą i postarać się co najrychlej o zaprowadzenie na tych ulicach oświetlenia gazowego, a to choćby już z tego prostego względu, że im więcej będzie tego gazu zużytkowywało, tem mniej będą wynosić koszta zarządu i fabrykacyi. Tymczasem jak powiedzieliśmy powyżej ani na jeden metr nie rozszerzono sieci rur gazowych, nie przybyła miastu ani jedna lampa gazowa, pomimo. że miasto od roku jest właścicielem fabryki gazu i dla fabrykowanego przez się produktu potrzebuje w dobrze zrozumianym własnym interesie szukać odbiorców.

A oto trzeci przykład. Na niektórych placach, jak na Halickim, Bernardyńskim, Maryackim, naprzeciw Kasy oszczędności, ustawiono przed kilku laty kilka lamp słonecznych, mających za zadanie te najbardziej ożywione punkta miasta, w których koncentruje się ruch powozów i pieszych, oświetlać tak dobrze, aby zapobiedz wypadkom. Lampy te przez jakiś czas spełniały dobrze swą funkcyę, ale nieczyszczone, lub czyszczone niedbale i nieumiejętnie, popsuły się, rurki się pozaginały, a palniki się poniszczyły. Dziś więc lampy te nie dają już prawie żadnego światła, stoją, palą się, ale ich mdły blask nie jest w żadnym stosunku do imponujących rozmiarów słupów latarnianych, na których są osadzone. Ktoś z magistratu okazał tyle energii, że jedną z tych lamp na Maryackim placu polecił wyrzucić, a natomiast ustawić zwykłe auerowskie palniki. Zamiana ta wyszła na dobre tej części Maryackiego placu, na której też panuje oświetlenie *a giorno*. Na tem jednak skończyła się energia magistratu, bo tyle woli, aby wszystkie lampy słoneczne zamienić na auerowskie palniki, magistratura Lwowa nie posiadała, dalej tedy palą się owe kopcące, brzydkie, bezświetlne, stare lampy.

Czwarty przykład: W rozmaitych punktach miasta szutrują teraz ulice nowym systemem i ugniatają je potem za pomocą dwóch lekomobil, bardzo dobrze kamienie ugniatających. Powstaje stąd szutrówka bardzo dobra, równa, wygodna do jazdy, a dostarczająca w razie deszczu niewiele błota. Chwali się więc to magistratowi, ale cóż stąd, skoro nikt nie pomyślał o tem, żeby na ulicach tych wprzód, nim się owo szutrowanie rozpocznie, poprzeprowadzać rury wodociągowe i gazowe. Wyszutrowanie doprowadzono więc do jak najpiękniejszego ładu i porządku poto tylko, aby za parę miesięcy znowu te ulice rozkopać dla założenia rur i potem na nowo szutrowanie rozpocząć. We Lwowie zakładają się już dziś ludzie o to, kiedy świeżo brukująca się ulica Sykstuska będzie znowu rozkopana. Możnaby ten zakład rozszerzyć i zadać sobie pytanie, kiedy też będą rozkopane ponownie ulice Ujejskiego, Lipowa, Technicka, Mickiewicza i t. d., które dopiero co wyszutrowano.

Piąty przykład: Rada miejska uchwaliła przed kilku laty, aby rury deszczowe z dachów kamienic nie kończyły się otworami przy trotoarze, lecz były przeprowadzane do kanałów miejskich. Uchwała ta była bardzo rozsądna z tego mianowicie powodu, że przez taki system zakładania rynew dostarczało się kanałom wody w obfitości, a z drugiej strony zapobiegało szerzeniu się wilgoci w domu. We Lwowie trotoary są układane z płyt trembowelskich, które łapczywie wsiąkają w siebie wilgoć i oddają ją ziemi, na której leżą. Woda płynąca z dachu przesiąkała przez trotoar, dostawała się do fundamentów domów, zawilgocała je i na podstawie znanego prawa hydraulicznego włoskowatości podchodziła murami do góry, czyniąc mieszkania parterowe wilgotnemi. Była to więc, jak powiadamy, rozumna uchwała. Przez lat parę zarząd miasta pilnował sumiennie jej wykonywania, a urząd budowniczy przy wykonywaniu konsensów na budowę domów robił zawsze zastrzeżenie, że rury deszczowe będą przeprowadzone aż do kanału miejskiego. Ale tak działo się niestety tylko lat parę, bo teraz już systematycznie wszystkie nowe domy są zaopatrywane w rury deszczowe z wylotami koło trotoarów, wskutek czego woda deszczowa będzie tak jak dawniej wsiąkała w fundamenta domów i zawilgocała parterowe mieszkania. A urząd budowniczy jest jeszcze pod tym względem tak niedbały, że nawet budynki, które sam stawia, zaopatruje w rury, kończące się ponad trotoarami, jak n. p. w wykończonej kosztem miasta bibliotece funduszu Baworowskiego. Także na innym gmachu, mianowicie na gmachu żandarmeryi można nawet wystudyować ten charakterystyczny objaw, jak to się u nas lekceważy własne uchwały: jedna część bowiem tego gmachu, zbudowana w czasie zapadnięcia owej uchwały ma rury deszczowe doprowadzone do kanałów, część zaś druga budowana w parę lat później, kiedy urząd budowniczy uchwałę rady miejskiej puścił już w niepamięć, ma rury po dawnemu z wylotem ponad trotoarami.

Moglibyśmy jeszcze przytoczyć cały szereg faktów, świadczących o tem, że w zarządzie miasta daje się spostrzegać pewne osłabienie energii, ale na razie poprzestajemy na powyższych uwagach, w przekonaniu, że uwagi te, poczynione w duchu życzliwym dla tych, którzy stoją na czele miasta, odniosą pożądany skutek.

Proces Dreyfusa.

(Telegramy Przeglądu).

Rennes 31 sierpnia. Rzeczoznawca Mayer obszernie wczoraj dowodził, że bordereau jest dziełem Esterhazego i zwalczał system Bertillona. Tak samo zeznawał drugi grafolog, również profesor Ecole des Chartes Molinier. Trzeci rzeczoznawca, także profesor szkoły, Giry potwierdził w zupełności zeznania obu swych kolegów i oświadczył, że między pismem Esterhazego i Dreyfusa zachodzi pewne podobieństwo, czem się też tłómaczy podejrzenie, skierowane przeciw Dreyfusowi.

Po przerwie przystąpiono do przesłuchania członka akademii Picota, który zeznawał o rozmowie, jaką w maju br. miał z austryackim attaché wojskowym Schneidrem. Gdy świadek wymienił Schneidra po nazwisku, prezydent Jouaust i komisarz rządowy Carriere przerwali mu, a Carriere zaprotestował przeciw niedyskrecyi świadka. Wobec tego Picot w ciągu swych dalszych zeznań nie wymieniał już nazwiska Schneidra, a mówił tylko o pewnym attaché wojskowym. Opowiadał że w rozmowie z nim ów attaché wyraził zdziwienie z powodu niestosownego postępowania oficerów francuskich, którzy podają w wątpliwość słowo honoru oficerów zagranicznych. Świadek odniósł wrażenie, że attaché chciał w ten sposób wyrazić przekonanie swoje o zupełnej niewinności Dreyfusa. Attaché ów dodał, że z wyliczonych w bordereau dokumentów tylko trzy mają rzeczywistą wartość, dwa inne zaś są zupełnie podrzędne. W rozmowie attaché mówił ciągle o hydraulicznym hamulcu, nigdy zaś nie wypowiedział słowa „hamulec hydropneumatyczny“. Nadmienił dalej, że uważa Esterhazego za łotra i dodał, że Esterhazy był w stosunkach z ajentem A (Schwarzkoppenem), który mu jednak zawiesił dalsze wypłaty, ponieważ Esterhazy przynosił wiadomości nieważne. Wtedy Esterhazy próbował wstąpić do ministerstwa wojny i napisał bordereau, które następnie przesłał ajentowi A. Ajent ów odpowiedział na ten list kartką, zwaną „Petit bleu“.

Jenerał Roget prosi o głos i bardzo żywo protestuje przeciw wyrażeniu Picota, który mówił o zdziwieniu pewnego attaché wojskowego co do zachowania się oficerów francuskich. Roget twierdzi, że ów oficer, który w *Figarze* sam siebie i swoją własną depeszę zdementował, nie ma prawa w ten sposób wyrażać się o oficerach francuskich. Picot oświadcza na to, że nie dodaje do swych zeznań żadnych komentarzy. Na uwagę Demange'a odpowiada Roget, że poczuwa się do obowiązku i prawa wystąpienia w obronie oficerów francuskich, jeżeli są publicznie atakowani.

Następny świadek, dyrektor artyleryi w ministerstwie wojny, jenerał Deloye, powtarza zeznania swoje złożone przed trybunałem kasacyjnym w sprawie armaty „nr. 120 court“ i zapewnia, że tylko oficer artyleryi mógł znać dokładnie ten typ armaty.

Dreyfus, na wystosowane do niego zapytanie, raz jeszcze oświadczył, że w roku 1889 czy 1890, słuchał publicznego wykładu o tej armacie, a więcej nic o tem nie wie.

Komisarz rządowy Carriere oznajmia, że ministerstwo wojny udzieliło pozwolenia na żądane przez obronę wydanie tajnych dokumentów, odnoszących się w szczególności do dzisiejszych zeznań Deloye'a w sprawie armat, prosi wszakże, aby ta sprawa była roztrząsana na posiedzeniu tajnem. Prezydent i obrońcy na to się zgadzają; jutro przeto odbędzie się w tym celu posiedzenie tajne. — Na życzenie Demange'a dopuszczeni będą do tej rozprawy także świadkowie Hartmann i Ducrcq.

Zakład szczepienia ochronnego

przeciw wściekliźnie.

Jeden z księży grecko-katolickich nadesłał *N. Reformie* następujący artykuł:

Różne, przeróżne miewają ludzie wypadki, słowem nieszczęście „chodzi po nich“. Zaszło też i do mnie. Oto mój własny pies pokąsał mego 3-letniego syna i jego piastunkę. Po skonstatowaniu wodowstrętu u psa przez weterynarza, pojechałem niezwłocznie do Krakowa celem poddania ich ochronnemu szczepieniu metodą Pasteura do zakładu dra O. Bujwida. Ponieważ szczepienie miało trwać przez 10 dni, przeto po wizycie w zakładzie o godzinie 8 rano i o 4 po południu poświęcałem wolny czas zwiedzaniu Krakowa i jego historycznych zabytków, których posiada tak wiele. Kupiłem sobie przewodnik dra Rostafińskiego i za jego pomocą szło zwiedzanie bardzo szybko i z pożytkiem. Nic dziwnego, że będąc w różnych miejscach z przewodnikiem i mapą w ręku, prowadząc ze sobą małego chłopczyka, którego piastunka chodziła w ruskim stroju wschodniej Galicyi, do tego jako ksiądz zwracałem uwagę przechodniów, — napotykałem różnych ludzi, z któremi wszczynała się urywkowa rozmowa Pierwszem, zupełnie naturalnem pytaniem, skierowanem do mnie, było: skąd i w jakim celu przybywam. Niektórym osobom odpowiadałem lakonicznie, że przyjechałem ze synem do lekarza, innym zaś objaśniałem bliżej, mówiąc, że syn mój poddaje się ochronnemu szczepieniu w tutejszym zakładzie dra Bujwida, jako pokąsany przez wściekłego psa. Na moją odpowiedź pojawiały się na twarzach tych osób wyrazy współczucia, z przeważającym wyrazem przestrachu i uwagą, że bardzo dużo osób przybywa w tym celu do Krakowa Prawie każdy pytał się: „No, jakże malutkiemu? — jest mu już lepiej? — czy nie ma gorączki? — czy już jest zupełnie zdrowym? itp.

Zapytania takie, chociaż bardzo naturalne, przekonały mnie, że wiele osób nie ma najmniejszego pojęcia tak o samej chorobie wodowstrętu, ani też o sposobie rozpoznawania jej. Gdy choroba ta pokaże się u ludzi, wszelki ratunek jest daremny i niemożliwy, jeżeli do leczenia nie przystąpi się zaraz po ukąszeniu.

W przedmiocie tym bliżej się poinformowałem tu, na miejscu, w Krakowie, i dzięki uprzejmości dra Stanisława Miszewskiego, który już od pięciu lat w zakładzie dra Bujwida jako asystent pracuje i obecnie podczas wyjazdu swego szefa cały zakład prowadzi, dowiedziałem się od niego wielu rzeczy ciekawych o wodowstręcie i sposobie leczenia. To też spowodowało mnie do napisania tych paru uwag z najlepszym zamiarem przysłużenia się rozwojowi zakładu i szerszej publiczności podaniem niektórych dat i uwag w sprawie, która, na oko mało ważna, przytrafić się może, tem bardziej, że osób, zgłaszających się do zakładu jest co raz więcej. Dosyć powiedzieć, że syn mój ma numer 217, licząc od dnia 1 stycznia 1899 r., a po nim jest jeszcze 13 i co dzień ktoś nowy przyjeżdża.

Nie miejsce tutaj ani czas rozpisywać się o chorobie wodowstrętu. Z popularnie napisanej przez żonę prof. dra Bujwida broszurki, wydanej w Warszawie: „O wściekliźnie“, dowiedziałem się wiele nowego o wodowstręcie i polecam ją gorąco każdemu właścicielowi psa. Niemniej byłoby rzeczą bardzo pożądaną, żeby towarzystwo oświaty ludu, tak polskie jak i ruskie, postarały się o wydanie broszurki o wodowstręcie w wobec tego, że takie wypadki bardzo często na wsi się wydarzają.

Kilka uwag o samym zakładzie i nieco statystyki objaśnią czytelnika. Jak wiadomo wynalazcą ochronnego szczepienia był dr. Pasteur w Paryżu, który też i pierwszy tego rodzaju instytut założył. Uczeń jego, prof. Bujwid, założył taki zakład w Warszawie a następnie w r. 1893 w Krakowie. Pierwszym zakładem tego rodzaju w Austryo-Węgrzech był instytut budapeszteński prof. Högyesa. W r. 1897 założono taki zakład w Wiedniu. Jak na Niemców, szczycących się *kulturträgerstwem*, otwarto taki zakład w Berlinie dość późno, bo w roku 1898; może stało się tak dlatego, że wynalazcą metody był Francuz. Cała Europa, nawet Rosya, ma już w główniejszych miastach takie zakłady hojnie wyposażone — jest też — jak słyszałem — w Konstantynopolu i Nowym Jorku taki instytut

Podaję poniżej statystyczne daty krakowskiego instytutu (ulica Strzelecka liczba 7). Pierwsze szczepienie ochronne w zakładzie profesora Bujwida odbyło się 24 listopada 1893. Poniżej umieszczona tablica, wykazuje ilość szczepionych osób od 24 listopada 1893 do 31 grudnia 1898 roku.

W roku	Szczepionych osób	Z liczby szczepionych umarło	Śmiertelność w %
1893	1	0	0·0
1894	38	0	0·0
1895	104	2	1·7
1896	146	0	0·0
1897	160	4	2·5
1898	285	2	0 7
Razem	734	8	1·2

W tej tabeli widzimy, że przez pięć lat istnienia zakładu w Krakowie szczepiono w zakładzie po dzień 31 grudnia 1898 roku 734 osób, to jest przeciętnie 147 osób rocznie. W roku 1894 było szczepionych 38 osób, w roku 1898, 285, to jest $7^1/_2$ razy więcej, niż w roku pierwszym. Gdy zaś zważymy, że od 1 stycznia do 17 sierpnia 1899 (dzień w którym to piszę), szczepiło się w zakładzie 230 osób — a do końca roku jeszcze jest $4^1/_2$ miesiąca, to wzrost zgłaszających się do szczepienia jest wprost zastraszający!

Ze sprawozdania z roku 1898 dowiadujemy się, że szczepiono 285 osób, a gdy się zważy, że każdy pokąsany szczepi się przeciętnie dziesięć dni i to dwa razy dziennie, to zakład wykonał 5.700 szczepień! W tych 285 wypadkach zwierzęta kąsające były w 265 wypadkach psy, w 16 koty, w 3 konie, w 1 krowa. Ze szczepionych zmarło na wodowstręt dwie osoby, to jest 0·7%! — Na 964 osób leczonych po dzień dzisiejszy w krakowskim zakładzie umarło na wodowstręt tylko ośm, to jest mniej, jak jeden procent, świadczy to tedy jak najwymowniej o wielkiej korzyści ochronnego szczepienia, jako też o sumienności, z jaką prowadzi się akcya ochronna przeciw wściekliźnie w zakładzie prof. Bujwida.

Przypatrzmy się teraz bliżej samemu zakładowi (ulica Strzelecka liczba 7). Mieści się on w parterze. Malutki pokoik, poczekalnia, może pomieścić najwyżej 10 do 15 osób, a bywa ich tu i po 25; latem czekają w podwórzu, lecz co robić w zimie?! Na prawo pokoik ordynacyjny, z lewej strony laboratoryum, wszystko bardzo małe i ciasne, lecz we wzorowym porządku utrzymywane. W podwórzu stajenka z mnóstwem klatek, mieszczących króliki, morskie świnki i białe szczury, na których odbywają się doświadczenia i których mózg i mlecz pacierzowy używa się do szczepienia pokąsanych. Jest także pomieszczenie dla psów zostających w leczeniu lub obserwacyi.

Jest to zakład prywatny i dopiero po wielu zachodach zwróciły władze 400 złr. za urządzenie a udzielono 600 złr. subwencyi. Na wyścigi konne idzie 40.000! — a na zakład tak dobroczynny i tak sumiennie prowadzony tylko 600 złr.

Nie mogę nie podać do publicznej wiadomości jeszcze i tego szczegółu, że prof. Bujwid mimo subwencyi do istnienia instytutu jeszcze dokłada z własnej kieszeni. Nadto zdarzały się osobliwie w pierwszych latach dość częste wypadki, że przybywający pokąsani nieraz nie mieli grosza na powrót do domu i profesor Bujwid dawał im na ten cel swoje pieniądze tytułem pożyczki. Nawet kosztów produkcyi materyałów do szczepienia gmina zazwyczaj pokryć nie może dla braku funduszów.

Dopiero, kiedy ministerstwo orzeczeniem z dnia 20 grudnia 1897 roku zarządziło, żeby osoby, udające się do zakładów szczepienia ochronnego przeciw wodowstrętowi, na kolejach państwowych miały prawo do zniżonych cen o połowę, ulżyło to tak instytutowi, jak i stronom.

Nasz Sejm, względnie posłowie powinni się sprawą instytutu prof. Bujwida zająć gorąco i takiej zbawiennej i niezbędnej instytucyi humanitarnej przyjść z większą, niż dotąd pomocą. W końcu dodam, że ze względu na to, że 75 procent szczepionych przybywa z wschodniej Galicyi, byłoby bardzo pożądanem, żeby taki instytut założyć jak najprędzej we Lwowie.

Napisałem powyższy artykuł z własnego popędu, w najlepszej chęci przysłużenia się do rozwoju instytucyi dla dobra tych, którzy nie szczęściem pokąsania nawiedzeni być mogą. Byłbym bardzo zadowolonym, gdyby dzienniki polskie i ruskie mój artykulik przedrukować zechciały.

Ksiądz *K. S.* grecko katolicki proboszcz z B.

Nowe książki.

Działalność Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie była w roku bieżącym nader wydatną. Jej to staraniem pojawił się w tym czasie na półkach księgarskich cały szereg dzieł naukowych, historycznych i literackich, wydanych nadzwyczaj starannie. Dość wspomnieć o znakomitem dziele ks. Maryana Morawskiego „Filozofia i jej zadanie“ mogącem oddać wielkie usługi, zwłaszcza młodzieży, pragnącej zapoznać się bliżej z filozofią. Książka ta wyszła już była poprzednio w dwóch innych wydaniach, a napisaną była mniej więcej przed dwudziestu laty, kiedy wybitne postacie i prądy dzisiejszej filozofii jeszcze się nie były zarysowały. Ponieważ ks. Morawski oddał ją do dyspozycyi Spółki wydawniczej zupełnie niezmienioną, przeto — rzecz prosta — nie można w niej szukać poglądów na najnowsze filozoficzne płody, lecz za to znajdzie się doskonałe przygotowanie do samodzielnych filozoficznych studyów i pewne wytyczne punkta do oryentowania się na tej niwie.

Nie mniej cenne są „Dzieje zniweczenia św. Unii na Białorusi i Litwie w świetle pamiętników Siemaszki“ *ks. Wł. Chotkowskiego*, i „Listy duchowne“ *ks. Zygmunta Goliana*, zawierające bardzo dużo pięknych myśli i zdań, mogących dla niejednego być nauką i pociechą.

Za ważne przyczynki do historyi naszych dziejów należy uważać bardzo sumiennie opracowane studyum *Antoniego Karbowiaka* p. t. „Szkoła katedralna krakowska w wiekach średnich“, tudzież „Wspomnienia jenerała *Klemensa Kołaczkowskiego*“ (księga II-ga od roku 1813 do 1820) ozdobiona dziesięcioma ślicznemi rycinami, według sztychów Villerey'a, obrazów Meissonier'a, Lessera, Steubena i innych. Pierwszą księgę tych „Wspomnień“, obejmujących czasy od roku 1793 do 1813 wydała Spółka jeszcze w roku zeszłym.

Wielkie też należy jej się uznanie za wydany „Wybór listów Adama Mickiewicza“, w układzie *Józefa Kallenbacha*. Jak już sam tytuł książki wskazuje, zbiór listów Adama Mickiewicza nie jest zupełny. Wydawca musiał niejeden nawet ważny list podać w skróceniu lub zupełnie pominąć, gdyż zależało mu na tem, aby one mogły być czytane we wszystkich prowincyach Polski. Zresztą całkowite wydanie korespondencyi Adama Mickiewicza, odpowiadające przepisom naukowym, a więc na autografach oparte, wymagałoby całych lat poszukiwań i przygotowań, gdyż listy Mickiewicza rozproszone są dzisiaj po niezliczonych zbiorach publicznych i prywatnych, tak, że porównanie tekstów, ogłoszonych z autografami byłoby żmudnem i długoletniem przedsięwzięciem.

Znamiennemi rysami listów Adama Mickiewicza są: prostota, brak wszelkiego pozowania, wielka dobroduszność i jeszcze większa serdeczność. „Niech nikt w nich nie szuka — czytamy w „Słowie wstępnem“ — rozpraw filozoficzno-estetycznych; przyjaźń tu dzierży berło, nie poezya: Stefan Garczyński więcej tu zajmie miejsca niż Goethe, a Cypryan Daszkiewicz więcej niż Dante. Cała wysoka skala uczuć gorących człowieka i obywatela rozbrzmiewa tu nie rozgłośnie, a jednak donośnie dla tego, co słuchać umie. Znajdzie się w tej korespondencyi i pietyzm wdzięczności dla starszych (Listy do Lelewela) i niezrównany a zagubiony dziś ton „promienistej przyjaźni i rzewna miłość brata i czuła troska męża i ojca rodziny. Cichy smutek unosi się nad tymi listami, ale nie znajdzie w nich nikt ani zniechęcenia, ani zwątpienia. Korespondencya Mickiewicza, powiększając uwielbienie dla poety, przynieść powinna pożytek publicznemu duchowi. Umysły przystępne dla prawdziwej wielkości i prawdziwej zasługi znajdą niejedną zbawienną naukę, niejedną myśl pokrzepienia w tych listach Adama“.

Z dzieł beletrystycznych, wydanych przez Krakowską Spółkę, mamy przed sobą: „Powieści“ *Zofii Kowerskiej*; zbiór nowel *Michała Bałuckiego* p. t. „Mój pierwszy występ literacki“; dwa tomy nowel *Gawalewicza*, jeden p. t. „Biedni ludzie“, drugi p. t. „Majster do wszystkiego“; opowiadanie *Klemensa Bąkowskiego* p. t. „Posażna Panna“, tudzież humorystyczny opis podróży kupców rosyjskich po Rivierze i Włoszech *N. A. Lejkina*, noszący tytuł „Kędy pomarańcze dojrzewają“. Wielki talent Zofii Kowerskiej, której prace niejednokrotnie drukowaliśmy w naszem piśmie, znany jest doskonale naszym czytelnikom, więc nie potrzebujemy zastanawiać się nad nim, wspominamy tylko, że w tomie, o którym mowa, zawarte są cztery pomniejsze utwory: „Dla Anusi“, „Z życia Jasia“, „Na noclegu“ i „Wydalona“ — drukowane poprzednio po różnych czasopismach. Z tych samych względów nie rozpisujemy się szerzej o znanych i utalentowanych pisarzach: Gawalewiczu i Bałuckim.

Klemens Bąkowski znany jest z kilku humoresek (istotnie pełnych humoru), ceniony jest jednak wysoko, zwłaszcza przez Krakowian za sumienne studya, odnoszące się do historyi starego Krakowa. Z powieścią występuje — o ile nam się zdaje — po raz pierwszy i z tego też powodu pomówimy o „Posażnej pannie“ przy sposobności obszerniej.

Lejkin, autor opowiadania „Kędy pomarańcze dojrzewają“ jest jednym z najcelniejszych współczesnych satyryków rosyjskich. Jego humorystyczno-satyryczne utwory cieszą się nadzwyczajną popularnością i poczytnością wśród publiczności rosyjskiej. Wydał on już przeszło trzydzieści utworów powieściowych, osnutych przeważnie na tle życia rosyjskich sfer mieszczańsko-kupieckich, oraz świata wiejskiego. Typy Lejkina są tak popularne w Rosyi, że każdy nowy utwór, wychodzący z pod jego pióra, bywa formalnie rozchwytywany przez zwolenników lekkiej lektury. Opis podróży kupców Iwanowów po Rivierze i Włoszech należy do najudatniejszych i najzabawniejszych powieści tego utalentowanego humorysty i doczekał się już kilkunastu wydań i przekładów na różne języki, między innemi obecnie na polski.

Prócz wspomnianych dzieł wyszło jeszcze w r. b. nakładem Spółki wydawniczej w Krakowie drugie wydanie „Pieśni z muzyką i marszów wojska polskiego z końca XVIII i początku XIX wieku“, tudzież najlepsza z dotychczas wydanych „Mapa rzeczypospolitej polskiej“, z przydaniem kart oryentacyjnych trzech podziałów, Ks. Warszawskiego i okręgu Wolnego miasta Krakowa.

Mały Feljeton.

Od p. M. Rodocia otrzymaliśmy następujący list:

Szanowny Redaktorze!

Jestem zwyciężony!
Dokąd godzono we mnie z jednej, z drugiej strony,
Dokąd piór, dziesięć bodaj, było ze mną w wojnie,
Dokąd mnie oblegano grzecznie i przystojnie,
Dotąd i we mnie wrzała do walki ochota.
Lecz odkąd mi kamienie ciskają *z za płota*,
Odkąd mi przekręcają fakta bałamutnie
I z polemiki czynią pospolitą kłótnię —
Kapituluję. Krzyża znak kładę na czole
I Imć Działoszom wolne pozostawiam pole.

M. Rodoć.

KRONIKA.

Lwów 31 sierpnia.

Wiadomości urzędowe. Minister wyznań i oświaty nadał opróżnione posady w państwowych szkołach średnich: profesorowi gimnazyum w Jarosławiu Bronisławowi Świbie posadę w gimnazyum św. Jacka w Krakowie; profesorowi g. k. religii w gimnazyum w Brodach ks. Grzegorzowi Jaremie posadę katechety w II gimnazyum we Lwowie; — dalej zamianował rzeczywistymi nauczycielami średnich szkół państwowych suplentów: Jana Biłyka w Brzeżanach dla gimnazyum w Kołomyi, Augusta Jasińskiego w Krakowie dla gimnazyum w Nowym Sączu, Ignacego Krzyszkowskiego w Jarosławiu dla gimnazyum w Jarosławiu, Tadeusza Łopuszańskiego w Krakowie dla gimnazyum w Rzeszowie, ks. Feliksa Malarskiego w Stanisławowie dla gimnazyum w Stanisławowie, Adama Markowskiego w Tarnopolu dla szkoły realnej w Tarnopolu, Michała Ptaszyka w Wadowicach dla gimnazyum w Samborze, Teofila Stupnickiego dla szkoły realnej w Tarnopolu, Stanisława Tołłoczko w Krakowie dla szkoły realnej w Tarnopolu, Antoniego Waśniowskiego w

Krakowie dla gimnazyum w Tarnowie. W końcu zamianował minister prowizorycznym nauczycielem suplenta dra Grzegorza Wełyczkę w Stanisławowie dla polskiego gimnazyum w Tarnopolu.

Rocznica śmierci Cesarzowej Elżbiety przypada w dniu 10 września. Ze względu, że dzień ten jest w tym roku niedzielą, uroczyste żałobne nabożeństwa wogóle, a także i w parafialnym kościele nadwornym w Wiedniu odbędą się w dniu 11 września.

Międzynarodowy turniej szachistów odbędzie się w pierwszych dniach października w Moskwie.

Konkursa rozpisują: Wydział powiatowy w Gródku na posady lekarzy okręgowych: w Lubieniu z poborami 800 złr. i w Dąbrowicy z poborami 1000 złr. Termin do 30 września. — Sąd wyższy w Krakowie na posadę radzcy rachunkowego w VIII randze. Termin do 18 września.

Aksentowicz, znany chlubnie nasz artysta-malarz, wykona na zamówienie arcyksięcia Karola Stefana portret jego i arcyksiężniczki Eleonory.

Wojciech Kossak otrzymał znów od cesarza Wilhelma dowód uznania; mianowicie za obrazy, wystawione na wielkiej wystawie sztuk pięknych w Berlinie, nadał władzca Niemiec rodakowi naszemu złoty medal.

Sprawa p. Włodzimierza Buynowskiego, byłego kasyera Wydziału krajowego, była onegdaj przedmiotem obrad sesyi Wydziału krajowego, której przewodniczył Marszałek hr. Stanisław Badeni. Jak wiadomo, stawał w czerwcu br. p. Buynowski przed lwowskim sądem przysięgłych pod oskarżeniem sprzeniewierzenia z krajowej kasy solnej kwoty 12.000 zł., wyrok zaś tego sądu uwolnił p. Buynowskiego jednogłośnie od winy i kary. Po tym wyroku wytoczył przeciwko p. Buynowskiemu Wydział krajowy śledztwo dyscyplinarne, którego wynikiem jest wydalenie p. Buynowskiego z grona urzędników, bez prawa do emerytury. Nadto orzeczono na sesyi, że kaucya p. Buynowskiego wynosząca 1.400 zł. przepada na rzecz Wydziału krajowego. Pan Buynowski służył przy Wydziale krajowym przez lat 28.

Wystawa drobiu w Jarosławiu urządzona przez I galicyjskie Towarzystwo chowu drobiu i królików otwartą będzie d. 7 września o godzinie 10 przed południem. Premiowanie odbędzie się w dniu następnym o godzinie 3 po południu. Ministerstwo rolnictwa udzieliło 10 medali srebrnych i 10 medali bronzowych. Medale te, tudzież dyplomy honorowe otrzymają hodowcy, których drób uznany będzie za najlepszy. Prócz tego będą rozdane nagrody pieniężne między tych hodowców włościańskich, którzy wykażą postępy w pielęgnowaniu drobiu krajowego. Wnosząc z liczby zgłoszeń, wystawa zapowiada się bardzo dobrze.

Marya Bugajska. Sąd krajowy karny w Krakowie ogłasza: „Józef i Marya małżonkowie Kopytkiewicze, zamieszkali w Krakowie przy ulicy Aryańskiej pod l. 8, donieśli do ck. sądu krajowego karnego w Krakowie, że ich wychowanica, Marya Bugajska, rodem z Kątów (powiat Brzesko), lat 14 licząca, średniego wzrostu, silnej budowy ciała, blondynka, wyszła z domu w dniu 26 lipca b. r. i już więcej nie powróciła. Wzywa się przeto wszystkich, którzyby jakąkolwiek mieli wiadomość o zaginionej, aby o tem zawiadomili ck. sąd krajowy karny w Krakowie".

Zbiorowe kursa przygotowawcze dla prywatystów szkół średnich, wraz z kursem przygotowawczym do egzaminów dojrzałości, tak dla uczniów publicznych i prywatnych, jak i dla osób regularnych studyów gimnazyalnych i realnych nie posiadających, oraz korepetycye pojedyncze lub zbiorowe dla uczniów szkół publicznych otwiera z początkiem września we Lwowie p. A. Strzelecki, b. nauczyciel gimnazyum Franciszka Józefa, przy współudziale pierwszorzędnych miejscowych sił nauczycielskich.

Potrzeba tego rodzaju instytucyi dawała się dawno w mieście naszem uczuć. Wiele bowiem rodziców, z różnych powodów, woli dzieci swe, przynajmniej przez kilka klas niższych szkoły średniej, trzymać w domu i uczyć prywatnie.

Taka jednak indywidualna, czyli z jednym uczniem odbywana nauka prywatna pozbawiona jest tych cennych korzyści, jakie daje szkoła publiczna, tj. przedewszystkiem ożywienia (skutkiem czego zaradło młodociany umysł męczy i wytęża), następnie tyle pożądanego bodźca w postaci szlachetnej emulacyi — wreszcie nie daje uczniowi najnaturalniejszej i najważniejszej w koniecznych chwilach przerwy rozrywki: towarzystwa dobranych rówieśników (pod ścisłym jednak i należytym nadzorem).

Nie najmniejszej wagi jest też ta okoliczność, że nie każdego stać na zadośćuczynienie warunkom fachowego nauczyciela, względnie kilku fachowych profesorów — to też udzielają nauki prywatnej po największej części siły młodsze i niefachowe, skutkiem czego ona, przy innych już wymienionych niedostatkach, tem mniej należytych rezultatów przynosi. Zbiorowo zaś jest korzyść znaczna i pod tym, materyalnym względem: da się bowiem w zakresie tych samych warunków materyalnych uzyskać naukę sił fachowych i ukwalifikowanych.

Uchylić tedy niedostatki dotychczasowej pojedynczej nauki prywatnej z jednej strony, a z drugiej zapewnić jej choć w części (a znacznej) te korzyści, jakie daje szkoła publiczna, zamierzył sobie założyciel tych kursów. Ze zaś jest on wytrawnym pedagogiem, znającym równie dobrze naukę prywatną, jak publiczną, z długoletniej w obu kierunkach praktyki, tak w najpierwszych rodzinach, jako też przy pierwszorzędnych zakładach państwowych w kraju, przeto przedsięwzięcie to, zwłaszcza, że mieścić będzie także należycie zorganizowany kurs przygotowawczy do egzaminów dojrzałości i korepetycye dla uczniów publicznych — będzie zapewne z uznaniem i radością w szerokich kołach naszego miasta powitane i rokuje najlepsze powodzenie, którego mu z naszej strony życzymy.

Bliższe szczegóły podaje ogłoszenie.

Przemytnika tabaki rosyjskiej wykrył pewien konduktor w poniedziałek w krakowskim pociągu kolejowym. Jadący tym pociągiem pewien żydek wiózł do Drohobycza 67 kg. tabaki, przemyconej z Rosyi. Wskutek doniesienia konduktora, władza skarbowa tabakę skonfiskowała, a przemytnika oddała w ręce policyi. Grzywna, jaką na niego nałożono, wynosi 2000 zł.

W sprawie kart korespondencyjnych z widokami. Z powodu powtórzonej przez nas z *Ruchu katolickiego* notatki o eskamotowaniu kart pocztowych z widokami, komunikuje nam dyrekcya poczt i telegrafów, że przedewszystkiem — jak uczy doświadczenie — tylko bardzo rzadko zaginięcie karty takiej jest skutkiem winy organów pocztowych, a o ile takie wypadki się zdarzają, to odnosi się to głównie do wsi, mianowicie dlatego, że listonosz wiejski, maszerując całemi milami, nieraz z powierzonych mu korespondencyi coś zagubi; zdarzyć się też mogło, że ozdobną kartę sobie zatrzymał lub też komuś podarował. Wykluczonem jest natomiast, ażeby urzędnicy lub urzędniczki pocztowe dotknięci byli tego rodzaju kleptomanią. Dyrekcya poczt i telegrafów na szczęście nie otrzymała dotąd ani jednej w tym kierunku skargi, a natomiast urzędnicy i urzędniczki urzędów pocztowych wiedzą aż nadto dobrze, że gdyby dopuścili się przejęcia i zatrzymania choćby jednej karty korespondencyjnej lub listu, straciliby natychmiast posadę w całym obrębie tej Dyrekcyi.

Rada, jaką podaje korespondent *Ruchu katolickiego* w celu ochronienia tych ozdobnych kart od rąk niepowołanych, mianowicie, ażeby pisano: „skradziono adresatowi na poczcie" — jest zupełnie niepraktyczną. Bowiem wedle przepisów pocztowych, taka karta musiałaby być wycofaną, adresatowi nie byłaby doręczoną, a jeśli nadawca nie jest znany, zniszczoną. Kto więc chce, ażeby karta jego doszła do rąk właściwych, niechaj nie idzie za radą owego pessymisty, bo zresztą delikatnością ona też nie grzeszy.

Prośba do Dyrekcyi poczt. Mieszkańcy ulicy Puławskiego proszą o skrzynkę pocztową, bo do najbliższej mają przeszło kilometr drogi.

Tragedya rodzinna. W tych dniach w Kowieńskiem na Litwie, 19-letni hr. Kossakowski nieostrożnym wystrzałem z rewolweru ranił śmiertelnie swoją matkę. Hrabina Kossakowska zmarła nazajutrz.

Samobójstwo. Na tor kolejowy w Zniesieniu rzucił się we wtorek 23-letni Eisig Rattner, prywatny nauczyciel, który wskutek nędzy postanowił pozbawić się życia. Nadjeżdżający właśnie z Podwołoczysk pociąg pospieszny przejechał po nim, druzgocząc desperatowi głowę i nogi. Śmierć nastąpiła natychmiast.

Styl urzędowy. Za rogatką powiesił się jakiś nieznany chłop. Sąd po uwiadomieniu go (a więc: chłopa) o wypadku, kazał trupa pochować.

Sposób na pijaków. W Nowej Zelandyi fotografują nałogowych pijaków na koszt rządu i fotografie rozsyłają wszystkim szynkarzom. Jeśliby szynkarz tak notorycznie znanemu pijakowi sprzedawał napoje gorące, podpada wielkiej karze pieniężnej, a następnie traci szynk i idzie do więzienia. Ta srogość przepisów sprowadza w Nowej Zelandyi bardzo dodatnie skutki.

W domu Matejki w Krakowie otworzono wystawę 130 obrazów, nadesłanych z różnych stron kraju i zagranicy przez najwybitniejszych polskich malarzy, na cele domu Matejki. Obrazy te przeznaczone są do rozlosowania, które nastąpi z końcem r. b. Wystawa wygląda okazale, gdyż zawiera dzieła niepospolitej wartości, wykonane przez najgłośniejszych artystów, którzy w ten sposób złożyli hołd pamięci największego z naszych malarzy. Jest nadzieja, że dochód z loteryi tej wystarczy na pokrycie kosztów przebudowy domu i ostatecznego urządzenia muzeum obrazów i pamiątek po twórcy „Bitwy pod Grünwaldem".

Z Paryża piszą: Do egzaminów dojrzałości, czyli na stopień „bakkalaureata", które trzeba tu zdawać przed profesorami uniwersytetu w Sorbonie, stawało w tym roku około 10.000 kandydatów; mniej więcej połowa zdała egzamin pomyślnie. W tej liczbie było 14 panien. Na liście ich znajduje się nazwisko p. Jarzewskiej oraz Karoliny Cavaignac, córki b. ministra wojny.

Rozrzucanie pieniędzy. Feiga Gruberżyna kupując dziś buraki na rynku, skradła przy tej sposobności sprzedającej buraki chłopce pończochę z kwotą przeszło 8 złr., którą ona miała schowaną na piersiach pod koszulą. Przychwycona, aby się pozbyć skradzionych pieniędzy, rozluźniła sobie odzież pod szyją i poczęła nieznacznie wsypywać sobie pod koszulę monety jedne za drugiemi. Eskortowana przez policyanta, wysypała tak Gruberżyna ze siebie 67 ct. Pończochę z resztą pieniędzy znaleziono u niej w kieszeni. „Rozrzutnicę" oddano na policyę.

Stałe zjazdy filologów słowiańskich. W dniu 23 bm. niektórzy członkowie zjazdu archeologów w Kijowie zebrali się w mieszkaniu prof. Łamańskiego na prywatną naradę słowiańskich i rosyjskich slawistów w celu omówienia projektowanego na r. 1901 albo 1902 zjazdu filologów słowiańskich w Pradze. Myśl tego zjazdu powzięli uczeni czescy, profesorowie uniwersytetu praskiego: Gebauer, Kadlec, Machal, Niderlec, Pastruck, Polivka i Wilczek. Uczeni ci wydali do wszystkich slawistów odezwę, w której zapraszają uczestników do Pragi. Inicyatorom zjazdu chodzi o to, aby zogniskować pracę wszystkich slawistów, którzy dotąd rozwijają swoją działalność odrębnie, bez porozumienia się wzajemnego; inicyatorom idzie więc o zjednoczenie się na polu slawistyki. Takie zjednoczenie nastąpi w Pradze podczas pierwszego zjazdu filologów. Zjazd roztrząsać będzie wyłącznie sprawy filologii słowiańskiej. Z pośród mnóstwa kwestyj, jakie zajmować mogą uczestników przyszłego zjazdu, czescy uczeni pragną na pierwszy plan wysunąć wydawnictwo „compendium" filologii słowiańskiej, następnie zaś chcą opracować wspólny program zbierania materyałów, dotyczących gwar ludowych, wydać systematyczną, szczegółową bibliografię slawistyczną, obrobić doskonały słownik starosłowiański, oraz słowniki oddzielnych języków słowiańskich, wreszcie wielki słownik ogólno-słowiański. W dalszym ciągu zjazd zajmie się sprawą lepszego traktowania filologii słowiańskiej na katedrach uniwersyteckich, utworzenia seminaryów słowiańskich, wypraw naukowych i t. d. Zjazd ten, wzorem innych zjazdów, winien: 1) peryodycznie się powtarzać, 2) odbywać się w różnych krajach i miastach, 3) mieć znaczenie międzynarodowe, 4) językiem urzędowym zjazdu ma być język tego kraju, gdzie zjazd się odbywa: w Pradze — czeski, w Moskwie — rosyjski, w Krakowie — polski, w Belgradzie — serbski i t. d. Na zjazdach tych każdy może przemawiać swoim językiem rodowitym. Na zjeździe praskim utworzone będą cztery sekcye: 1) lingwistyczna, 2) historyczno-literacka, 3) etnograficzna i 4) sekcya starożytności słowiańskich. Referaty i dyskusye będą mogły być prowadzone we wszystkich językach słowiańskich, oraz po francusku i niemiecku. Prace i referaty będą ogłoszone w specyalnym organie: „Wiadomości I zjazdu filologów słowiańskich w Pradze". Zgromadzeni na naradzie u prof. Łamańskiego slawiści oświadczyli się za urządzeniem zjazdu w końcu sierpnia 1901 roku. Referaty mają być złożone na pół roku przed otwarciem zjazdu. Późniejsze referaty będą uwzględnione tylko w takim razie, jeżeli przynoszą z sobą jakieś odkrycie naukowe. Całkowity projekt zjazdu, przygotowany przez uczonych czeskich, przyjęto z dodaniem sprawy wydawnictwa mapy etnograficznej Słowian i rozszerzenia sekcyi etnograficznej przez utworzenie sekcyi ludoznawstwa słowiańskiego.

Partyę bilardu konno grali niedawno w Nowym Yorku dwaj bogaci Amerykanie. Obaj grali doskonale w bilard i byli wprawnymi jeźdźcami. Umówili się zatem o partyę bilardową konną, ze stawką 1000 funtów szterlingów (12.000 złr.) Bilard ustawiono na wolnem polu, a partnerzy siedzieli na koniach. W obecności licznego grona przyjaciół i znajomych rozpoczęła się partya. Naturalnie żaden z grających nie mógł użyć równocześnie obu rąk, bo w jednej trzeba było trzymać lejce, więc gra postępowała bardzo wolno; nie obeszło się też bez wielu zabawnych epizodów. Przytem widzowie wchodzili z sobą w zakłady: przegrano i wygrano znaczne sumy pieniężne.

Wesele cyklistów. W Wiedniu w kościele św. Małgorzaty odbyło się wesele kolarskie, w prawdziwie amerykańskim stylu. Pan młody, właściciel sklepu z przyborami kolarskiemi, członek 32 klubów sportowych i nauczyciel jazdy na kole, narzeczoną swoją poznał na szkolnym torze — i rychło oboje puścili się do mety, kędy ich ksiądz ze stułą oczekiwał. W orszaku, złożonym z przeszło 200 cyklistów, państwo młodzi na kołach wyruszyli do kościoła, zapełnionego tłumem ciekawych. On w ubraniu z surowego jedwabiu, ona w spodeńkach z takiego samego materyału i w białej bluzce jedwabnej. Drużbowie i druhny mieli bukiety, przymocowane do kierownika, a szprychy kół umajono kwieciem. Po ślubie całe towarzystwo wyruszyło w raźnem tempie za miasto, na biesiadę do jednego z okolicznych ogrodów. Jeden tylko z zaproszonych gości wykroczył przeciw etykiecie. Zajechał przed kościół fiakrem i we fraku!

Chłop po służbie wojskowej. Władze rządowe rosyjskie zwróciły uwagę na fakt, że włościanie po opuszczeniu służby wojskowej, przybywszy do domu rodzinnego, czują się tam obcymi, bo się już przyzwyczaili do pewnego komfortu koszarowego, przeto trudno im następnie przystosować się do ubogiego i nadzwyczaj skromnego sposobu zaspokajania potrzeb życiowych pod strzechą. Władze wojskowe w Moskwie i Petersburgu znalazły już sposób ułatwienia wysłużonym w wojsku włościanom egzystencyi. Oto zatrzymują ich jeszcze na pół roku w mieście i posyłają do szkół pszczelniczych i ogrodniczych, dzięki czemu żołnierz-wieśniak powraca do wsi z pewnem wykształceniem fachowem, zachętą do pracy na roli, oraz poważniejszym celem życia. Sprawą tą zajmuje się obecnie urzędowy *Dniewnik Warszawski*, może więc także i włościanie z Królestwa Polskiego będą mieli sposobność po wysłużeniu w wojsku nabrać jeszcze na koszt rządu wykształcenia w pszczelnictwie i ogrodnictwie.

Stan powietrza. T. o. g. 7 rano +14, w poł. +17 R. Bar. 765. Nieruchomy. Pogoda.

Małe qui pro quo.

— Proszę cię, wszak znasz dobrze artystę-malarza Zarozumialskiego?

— Znam go doskonale.

— Jak mu na imię?

— Fecit.

— Cóż znowu! chyba się mylisz? jak żyję, nie słyszałem takiego imienia.

— Ależ wcale się nie mylę, na każdym swoim obrazie podpisuje się jak najwyraźniej: *Fecit Zarozumialski.*

Okoliczność łagodząca.

Sędzia: Dowiedziono ci, że popełniłeś tę kradzież sam — nie może być zatem mowy o łagodzących okolicznościach.

Złodziej: Wysoki sądzie... przeciwnie! zachodzi tu bardzo łagodząca okoliczność.

Sędzia: Jakaż to?

Złodziej: Rano owego dnia spotkałem starą babę i do tego z próżnemi konewkami. *(Śmigus).*

Repertuar teatru hr. Skarbka: W piątek 1-go września „Dom otwarty", komedya w 3 aktach Michała Bałuckiego. W sobotę „Safo", sztuka w 5 aktach Daudeta. Występ Gabryeli Zapolskiej. W niedzielę „Zaza", sztuka w 5 aktach Piotra Bertona. Występ Felicyi Stachowicz. W poniedziałek nie będzie przedstawienia. We wtorek „Nora", sztuka w 3 aktach Henryka Ibsena, występ G. Zapolskiej. We środę nie będzie przedstawienia. We czwartek po raz pierwszy „Karykatury" sztuka w 4 aktach J. A. Kisielewskiego, nagrodzona na konkursie Ignacego Paderewskiego.

Sprzedaż „Przeglądu" dla dzielnicy Łyczakowskiej urządziliśmy w sklepie korzennym p. Czarneckiego.

Literatura i sztuka.

Teatr Rozmaitości dał wczoraj „Królowę przedmieścia" przy sali wysprzedanej zupełnie. Utwór ten krakowskiego poety wypadł doskonale pod względem wykonania i rozbawił niesłychanie publiczność. Dzisiaj przedstawionym będzie w „Teatrze Rozmaitości" „Sztygar", operetka w trzech aktach Zellera z p. Orzelskim w roli Roderyka.

* „**Iris**", pismo literackie i artystyczne, wydawane przez tutejsze „Koło", przynosi w wrześniowym zeszycie interesujący artykuł Władysława Mickiewicza pt. „Nieznany list Słowackiego", wspomnienie historyczne dra Czołowskiego „Po Cecorskim pogromie", wreszcie początek ciekawej rozprawki dra Stelli-Sawickiego p. t. „Inteligencya u roślin". Oryginalnością tematu zaleca się „Pani Walerya", nowelka Bolesławicza, niepozbawionym również aktualności jest artykulik Schnür-Pepłowskiego pt. „Swoje znać trzeba". Poezyę udatnie reprezentują wiersze Bełzy i Zawrata, a poetycznym nastrojem odznaczają się także wspomnienia z Rzymu Nikorowicza. W dziale sprawozdawczym zwracają uwagę: sylwetka artysty-malarza Juliusza Zubera, skreślona przez Nowaczyńskiego, korespondencya muzyczna Biernackiego, tudzież ocena polskich utworów Przybyszewskiego, pióra dra Barwińskiego. Wogóle dział sprawozdań literackich jest w ostatnim zeszycie bardzo obfity. Z rycin zasługują na szczególniejszą uwagę reprodukcye „Opowiadania urlopnika" Zubera, oraz pomnika Sobieskiego.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 29 sierpnia.

(Z.) Zagraniczne targi były dziś pod wrażeniem nowych a niepomyślnych wiadomości z Transwaalu. „Biuro Reutera" donosi bowiem, że Anglia wystosowała rodzaj ultimatum do prezydenta rzeczypospolitej transwaalskiej Krügera i że rząd tej republiki nie okazuje wcale skłonności poddania się rozkazowi kolosa brytańskiego, lecz gorączkowo przyśpiesza uzbrojenia. Pod wpływem tego doniesienia spadł dotkliwie kurs wszystkich afrykańskich akcyj kopalnianych. Londyńskie sfery finansowe nie biorą jednak zbyt tragicznie całej tej sprawy i są zdania, że pomimo zbrojeń przecież uda się bodaj w ostatniej godzinie pokojowo załatwić ten konflikt. berliński jednak targ zapatruje się na sprawę bardziej pesymistycznie. Jedynie akcye kopalń węgla były tam dziś faworyzowane wobec tego, że niebawem ma nastąpić ogólne podwyższenie cen węgla w Niemczech. W Wiedniu już podwyższono cenę węgla o 6 do 8 centów na cetnarze metrycznym. Podwyższenie to nakłada na mieszkańców Wiednia ciężar przeszło 1.200.000 złr., gdyż w roku ubiegłym zużyto tu jedynie na potrzebę gospodarstw domowych (nie licząc zakładów gazowych) 16,700.000 cetnarów.

Ruch dzisiejszy na naszej giełdzie pozostawiał wiele do życzenia, operowano jedynie w akcyach fabryki broni, w walorach budowlanych i nieco w Statsbahnach i akcyach tramwaju wiedeńskiego. Natomiast targ walorów żelaznych był dziś zaniedbany, na szarym końcu zaś pomiędzy temi papierami były wyjątkowo alpiny. Przecież raz bowiem wyłapano na kłamstwie macherów, śrubujących w górę kurs tych papierów przez rozpuszczanie fałszywych pogłosek. Przed kilku dniami, jak to doniosłem, rozpuścili oni na giełdzie pogłoskę, że Towarzystwo alpejskie otrzymało znaczne dostawy aż do Ameryki, tymczasem pokazuje się, że rzecz ma się wręcz przeciwnie. Nie Ameryka w Towarzystwie alpejskiem, ale Towarzystwo alpejskie w fabrykach amerykańskich zrobiło znaczne obstalunki maszyn górniczych i żurawi. W tej sprawie właśnie wyjechał do Ameryki wicedyrektor Towarzystwa alpejskiego Kerpely. Gotówka drożeje i na naszym targu. Dziś musiały za nią pierwszorzędne firmy płacić 5%. Z powodu końca miesiąca nawał weksli zgłaszanych do eskontu w banku austro-węgierskim jest ogromny. Dziś zeskontowano tam weksli za 4 miliony. Z Sofii donoszą, że tymi dniami puszczona już zostanie w ruch wielka fabryka cukru, zbudowana tam przez belgijskie Towarzystwo akcyjne. Fabryka ta może stać się niewygodną konkurentką dla exporterów z Austro-Węgier — na rok obecny pocieszają się oni tem, że Bułgarya ma za mało buraków.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 383·25, węgierskie 392.—, Anglobanki 151·50. Uniony 309·—, Bankvereiny 271·50, Landerbanki 240·45, Ludwiki 211·30. Czerniowieckie 284·—. Elbethale 256·25. Renta papierowa 100·25, srebrna 100·15, austryacka złota 117·80, austr. renta wal. kor. 100·10, węgierska złota 117·80, węgierska renta wal. kor. 96·10, dukat 5·70, 20 frankówka 9·55½, marki 11·77, ruble 1·27¼.

§ **Sprawozdanie targowe** ogólnego Związku hodowców i handlarzy bydła we Lwowie ul. Kopernika l. 7.

Targ lwowski 30 sierpnia. Spęd 120. Za woły średnie z paszy przeciętnej żywej wagi 400—500 kilo płacono po 27 do 30 zł. Tucznych nie było. Ceny mięsa w rzeźni: części tylne od 48—52. Targ ożywiony.

Targ wiedeński 28 sierpnia. Spęd 5854 sztuk z których 276 galicyjskich. Płacono za galicyjskie woły opasowe: prima 33—37 (39), secunda 29—32, tercya 26—28 za 100 kilo żywej wagi.

Targ praski 28 sierpnia. Spęd 1027 sztuk, między tymi 673 wołów galicyjskich. Płacono za galicyjskie woły z paszy średnie 28—31 zł., krowy 24—29, buhaje 27 do 32 zł. Targ średni.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

Zermatt (w Szwajcaryi) 31 sierpnia. Dwóch Anglików Hill i Jones w towarzystwie kilku przewodników przedsięwzięło w poniedziałek bardzo trudną wycieczkę górską. Jones i przewodnicy stoczyli się w przepaść, Hill zaś jakby cudem ocalał i powrócił tu wczoraj. Natychmiast wyruszyła stąd wyprawa dla odszukania zwłok.

Wiedeń 31 sierpnia. *Wiener Zeitung* ogłasza wydane na podstawie § 14 rozporządzenie cesarskie w sprawie rozszerzenia czasowego uwolnienia nowych budowli od podatku domowo-czynszowego na gruntach eraryalnych koszar Franciszka Józefa w Wiedniu i na kilka należących do gminy wiedeńskiej parcel, a to na przeciąg lat 30 względnie 25. Dalej ogłasza *Wiener Zeitung* rozporządzenie ministerstwa handlu w sprawie uregulowania stosunków osobistych służby w zakładach pocztowych i telegraficznych.

Morawska Ostrowa 31 sierpnia. W miejscu zasypanego i zamkniętego w r. 1879 szybu węglowego, który miał 200 m. głębokości, powstał z niewiadomych przyczyn otwór w ziemi na 12 m. głęboki. Miejsce to natychmiast oparkaniono. Według dochodzeń urzędowych nie grozi miastu żadne niebezpieczeństwo.

Czeska Lipa 31 sierpnia. Wczoraj o godz. 7 rano rozpoczęło się rozstawianie wojsk mających wziąć udział w manewrach. Korpus 8 zajął stanowisko w okolicy Czeskiej Lipy, gdzie znajduje się główna kwatera arcyks. Franciszka Ferdynanda.

Praga 31 sierpnia. W przejeździe na manewry Cesarz przybył tu wczoraj w południe. Powitali Go: namiestnik Coudenhove, burmistrz Podlipny i inni dygnitarze. Przy wjeździe po ciągu na dworzec, odezwały się huczne okrzyki „Slava" i „Hoch". Przed udekorowanym dworcem ustawiła się reprezentacya miejska, delegacye gmin okolicznych i inne deputacye. Burmistrz dr. Podlipny wygłosił mowę, w której podniósł uczucia wierności mieszkańców Pragi, stojących zawsze wiernie przy tronie; mówca prosił Cesarza, aby w przyszłości dłużej się zatrzymał w Pradze i odwiedzinami swemi złożył niejako zadatek nastania lepszych czasów dla całego królestwa. Cesarz odpowiedział najpierw po czesku, że przyjmuje z radością wyrazy hołdu i zapewnienia wierności oraz dowody lojalnych uczuć dla dynastyi. Następnie po niemiecku oświadczył Cesarz, że dobro królewskiej stolicy leży mu bardzo na sercu i życzył miastu Pradze, aby korzystało z błogosławieństw spokojnego i ciągłego rozwoju. Następnie udał się Cesarz do poczekalni i zaszczycił rozmową przedstawionych Mu członków reprezentacyi miejskiej i inne osobistości. Monarcha odjechał wśród odgłosów hymnu cesarskiego i entuzyastycznych okrzyków.

Zakopy (Reichstadt) 31 sierpnia. Wczoraj o godzinie 4 po południu przybył Cesarz do Czeskiej Lipy. Na powitanie Monarchy stawiła się reprezentacya miejska, różne stowarzyszenia, młodzież szkolna i t. d. W chwili, gdy pociąg wjeżdżał do stacyi, muzyka zaintonowała hymn austryacki, a z tysiąca piersi odezwały się okrzyki na cześć Cesarza. Monarcha wysłuchawszy przemówienia hołdowniczego jednego z radzców miejskich udał się wśród entuzyastycznych okrzyków tłumnie zebranej ludności, strzałów moździerzowych i dźwięku dzwonów w dalszą podróż do Zakopów. Tutaj powitali Cesarza arcyksiążę Rainer, marszałek krajowy ks. Lobkowicz, szef sztabu generalnego baron Beck, naczelnicy różnych władz, reprezentacya miejska Zakopów i przedstawiciele okolicznych gmin. Monarchę powitano pełnymi zapału okrzykami. Cesarz powitał serdecznie arcyksięcia Rainera, podał rękę księciu Lobkowiczowi, generałowi Beckowi, wysłuchał mowy burmistrza Zakopów, zaszczycił krótką rozmową wiele osób, poczem udał się z arcyksięciem Rainerem wśród huku strzałów moździerzowych i entuzyastycznych okrzyków, tłumnie zebranej ludności do zamku.

W drodze do zamku tworzyły szpaler młodzież szkolna i reprezentacye gmin wiejskich. Muzyki grały hymn austryacki.

Przy drugiej bramie tryumfalnej przyjął Cesarz podany mu przez uczenicę bukiet. Przed bramą zamkową zebrali się wolni od służby oficerowie i kierownicy manewrów.

O godzinie 5 Cesarz przyjmował różne osobistości, deputacye itd., a wieczorem odbył się w namiocie cesarskim obiad, w którym wzięli udział arcyksiążę Rainer, marszałek krajowy, namiestnik, szef sztabu generalnego, zagraniczni attachés, wojskowi itd.

Petersburg 31 sierpnia. Sekretarz państwowy Plehwe zamianowany został zastępcą sekretarza stanu dla Finlandyi.

Reichstadt 31 sierpnia. Dzisiaj rozpoczęły się manewry cesarskie. Oba przeciw sobie operujące korpusy zajęły oznaczone pozycye i rozwinęły akcyę zupełnie na sposób wojenny.

Cesarz, w otoczeniu świty, wyjechał o godzinie 7-mej rano konno na pole manewrów.

Rennes 31 sierpnia. Dziś rano odbyła się tajna rozprawa, poczem dopiero o godzinie pół do 10 otwarto napowrót rozprawę jawną przesłuchaniem kapitana Lebrun-Renaulta.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Lwów 31 sierpnia. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 210·80 do 212·80 Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 283.50 do 286·—. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a, 375.— do 384·—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. —·— do —·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 253·— do 258·—. Banku dla handlu i przemysłu po 200 zł. 198·00 do 200·00.

Listy zastawne za 100 złr. Banku hipot. galic. 5 proc. losy w 50 lat. z 10 proc. prem. 110.00 do 110·70 4 i pół proc. los. w 50 lat 100.— do 100·70, 4 proc. los w 60 lat 96.50 do 97·20. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 61 lat 100·20 do 100·90. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 97·30 do 98·00. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 97.00 do 97·70, 4 proc. los w 41 i pół latach 97·00 do 97·70. 4 proc. los w 56 lat 94·10 do 94·80.

Obligi za 100 zł., Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 97.80 do 98·50. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·50 do —.—. Kom. Banku kraj. 5proc. (II emisyi) 102·00 do 000.00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97·00 do 97·70. Pożyczki kraj. 6 proc. 103·00 do —·—. 4 proc. z 1893 r. 96.30 do 97·00, 4 proc. po 200 koron z 1898 roku 93·20 do 93·90.

Monety. Dukat cesarski 5·66 do 5·76. Napoleondor 9.52 do 9·62. Rubel rosyjski papierowy 127·20 do 128.20. 100 marek niemieckich 58·70 do 59·15.

Wiedeń 31 sierpnia. (Giełda towarowa). Cukier surowy (spokojnie) 13·—. Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus niezmieniony 20·—20·40.

Berlin 31 sierpnia. (Zamknięcie giełdy). Banknoty austryackie 169·80. Spirytus 43·40.

Paryż 31 sierpnia. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 100·67. Mąki 41·70.

Frankfurt 31 siernia. (Wczorajsza giełda wieczorna). Kredyty austryackie 241.20; kolej państwowa 150·70; alpiny 000·00; disconto 194·—; laura 000·00.

Wiedeń 31 sierpnia. (Giełda zbożowa). Pszenica na jesień 8·57—8·58, na wiosnę 8·88—8·89; żyto na jesień 6·99—7·00, na wiosnę 7·28—7·30; kukurudza na sierpień-wrzesień 0·00—0·00, na wrzesień-październik 5·17—5·18; na maj-czerwiec 1900 r. 5·38—5·39; owies na jesień 5·57—5·58, na wiosnę 5·85—5·86; rzepak na wrzesień-październik 12·25—12·35; olej rzepakowy na wrzesień-grudzień 32—33. Tendencya: pewna. Pogoda: piękna.

Budapeszt 31 sierpnia. (Giełda zbożowa). Pszenica na wrzesień 8·49—8·51, na październik 8·53—8·55, na kwiecień 1890 r. 8.83—8·84; żyto na październik 6·72—6·73, na kwiecień 1900 r. 6·99—7·01: owies na październik 5·32—5.33, na kwiecień 5·62—5·64; kukurudza na wrzesień 4·89—4·90, na maj r. 1900 5·14—5·15; rzepak na wrzesień 11·75—11·85, na sierpień 1900 r. 11·60—11·80. Oferty na pszenicę dobre. Chęć kupna lepsza. Tendencya silna. Pogoda: piękna.

64)

OPĘTANI

POWIEŚĆ

MATYLDY SERAO.

(Ciąg dalszy).

Gdy margrabia Cavalcanti dowiedział się o tych wycieczkach, namarszczył brwi i uczuł się obrażonym. Chciał ukarać zuchwałego plebejusza, co ośmielił się uważać za narzeczonego panny wielkiego rodu; ale tak często zawierał układy ze swą dumą i honorem, że i na ten raz zmilczał.

Zresztą wszyscy mówili, że doktor Amati wkrótce zaślubi margrabiankę Cavalcanti i widzieli w tem czyn miłosierny.

Podczas wycieczek tych, w lesie Capotimonte, pod zielonemi konarami drzew starych, na łąkach ubarwionych kwieciem, wzdłuż wspaniałej drogi wiodącej od Pausilippe, rozpoczęła się ich sielanka wobec uroku przyrody neapolitańskiej.

W świetle słonecznem i na powietrzu swobodnie krążącem wokoło jej głowy, blade, delikatne policzki Blanki pokryły się lekką barwą różową, jak gdyby jej uboga krew żywiej zaczęła krążyć w żyłach. Odrzucając w tył głowę, chwytała ustami powietrze świeże, doszło nawet do tego, że uśmiechała się, pokazując swe zęby białe.

Wtedy Amati gawędził i śmiał się z nią, spoglądał w jej oczy, niekiedy brał jej dłonie i kładł w nie kwiaty dzikie. Zapominał o starej Małgorzacie, która, upojona świeżą atmosferą wiosenną, z kolei zapominała o nich. Ale rozmowy ich były tak niewinne, że zapomnienia tego nie mogła sobie poczytywać za grzech.

Dziewczyna wracała do domu upojona światłem, słońcem, miłością, z dłońmi pełnemi kwiatów, z rozszerzonemi nozdrzami, wchłaniając w płuca orzeźwiające powietrze.

Lecz skoro tylko powóz wjeżdżał do miasta, młodzieńczy jej uśmiech znikał z twarzy, a gdy przebywał bramę pałacu Rossi, Blanka pochylała głowę i pochmurniała.

— Co ci jest? Co ci jest? — z niepokojem zapytywał Amati.

— Nic — odpowiadała, kryjąc przed nim swą rozpacz.

Powoli wstępowała do swego pustego mieszkania, jeszcze raz na progu uśmiechała się do niego, poczem, jak gdyby przezwyciężyła przestrach, wchodziła do pokoju.

Często Cavalcanti, gniewny, wychodził naprzeciw niej, a wtedy na jego widok krew uciekała z jej twarzy i rozwiewał się urok słońca i miłości.

Gdy po wejściu do salonu lękliwie kładła na stole bukiet kwiatów dzikich, stary szlachcic troskliwie wypytywał ją o szczegóły wycieczki Blanki, odwracając głowę, odpowiadała głosem cichym, frazesami krótkiemi; lecz on, pragnąc wiedzieć wszystko, co zauważyła, nalegał natarczywie.

Od tego czasu najmniejsza wizya córki przejmowała go niepokojem, ciekawością, przykrością. We wszystkiem, co mówiła, szukał mistycznego źródła numerów.

Przypisywał jej dar obcowania z duchami, uważał ją za assistitę, wszechmocniejszą niż don Pasqualino, ponieważ była kobietą, była jego córką i niewinną. Choć sama nie wiedziała o tem, lecz była assistitą, bo czyż owej nocy nie widziała ducha płaczącego?.... Więc badał ją, nalegał, dręczył, wciągał własne dziecko w koło swych szaleństw.

— Co widziałaś? Co widziałaś? — zapytywał ten gracz, zapominając, że jest ojcem.

Niestety! piękny sen miłości rozwiewał się wraz ze swem światłem i radością, a jego miejsce zajmowały cienie ponurego domu i starzec, narzucający jej swój obłęd.

Ile razy Blanka wymówiła nazwisko doktora, swego zbawcy i przyjaciela, margrabia pienił się z gniewu.

Wtedy zrozumiała, że ojciec jej głęboko nienawidzi go.

Rzeczywiście, nienawidził go za wyświadczone mu przez niego usługi, nienawidził w miarę obowiązku wdzięczności...

W takich chwilach oblicze margrabiego do Formosy stawało się tak okrutnem, że Blanka drżała z przestrachu.

Pewnego razu, gdy Małgorzata w obecności margrabiego uczyniła wzmiankę o pogłoskach, dotyczących małżeństwa margrabianki z doktorem, oburzony Cavalcanti tak krzyknął na nią, że przestraszona służąca osłupiała.

— A jednak potrzeba, by margrabianka kiedyś wyszła za mąż — odrzekła lękliwie. — Lepszy doktor niż kto inny..

— Nie wyjdzie za niego — pochmurnie odrzekł margrabia.

Od tego czasu stał się jeszcze dziwniejszym i w swych bredniach mistycznych, zwracanych do córki, często mówił o miłości jak o plamie, jak o grzechu, jak o brudzie hańbiącym duszę i ciało.

Młoda dziewczyna rumieniła się, słysząc zniewagi miotane na miłość.

Wtedy on rozwodził się z pochwałami nad czystością, utrzymującą serce w stanie łaski, dozwalającą ludzkim istotom doznawać wizyj, zniewalających życie w rozkoszne marzenie. Unosił się, przeklinał miłość, jako źródło wszelkich nieczystości, wszelkich nieszczęść, wszelkich cierpień, — wyklinał ją, a Marya Blanka ukrywała twarz w dłonie, jak gdyby dla zasłonięcia jej od tych zniewag.

— Matka moja była kobietą świętą i kochała ojca — pewnego dnia odważyła się powiedzieć.

— I umarła z tej miłości — odrzekł pochmurnie — jak gdyby mówił do samego siebie.

— I ja chciałabym tak umrzeć — szepnęła dziewczyna.

— Umrzesz, przeklęta przeze mnie... rozumiesz?! — wrzasnął opętaniec. — Biada córce Cavalcantich, co topi swe serce we wstydzie i miłości ziemskiej! Biada pannie, która sprzeniewierzy się mistycznym zaślubinom, a którą te uczniowie namiętności ziemskiej stawia po nad czyste rozkosze życia duchowego.

Pochyliła głowę w milczeniu, czując coraz więcej ciężącą na swem życiu rękę, mającą ją zgnieść i złamać.

Nie śmiała opowiadać tych scen doktorowi, lecz uginając się niekiedy pod ciężarem cierpienia, powtarzała mu z rozpaczą:

— Uprowadź mnie stąd! uprowadź!

I on pragnął ją uwolnić od tych zmor życia, co stały się dla niej codziennem konaniem. Chętnie uprowadziłby tę biedną ofiarę niepoczytalnego kata, wyrwał z tej atmosfery obłędu i nędzy i ukrył w swym domu, gdzie mógłby ją obronić od wszelkich cierpień i wpływów szkodliwych.

Pragnienie ocalenia jej wzrastało w sercu Amatiego z dniem każdym, aż stało się jego myślą główną.

Postanowił więc pomówić z margrabią stanowczo, ażeby marzenie swe oblec w formy rzeczywistości. Przyrzekł to Blance owego wieczora, w którym ona zwierzyła mu się ze swych tajemnic rodzinnych.

Pragnął urzeczywistnić to jak najprędzej, a jednak dni upływały: im bardziej był zdecydowany prosić margrabiego o rękę córki, tem więcej obawiał się rozmowy z nim.

Czuł, że odpowiedź jego będzie stanowczą i że od niej zależeć będzie jego życie.

Nieprzewidziany wypadek przyspieszył rozwiązanie.

Margrabia w swych paroksyzmach szaleństwa zachował ową pobożność mistyczną i całe piątki przepędzał na modlitwie w kaplicy przed obrazem Matki Boskiej Bolesnej z sercem przeszytem mieczami, oraz przed wizerunkiem Chrystusa z przebitym bokiem i w cierniowej koronie na głowie. Posiadając, jak wogóle południowcy, wiarę głęboką, lecz związaną ze sprawami ziemskiemi i przypisując Bogu udział w grze namiętności ludzkich, czynił Go odpowiedzialnym za swą ruinę.

— Pozwoliłeś na to, Chrystusie! — wołał w swych modłach.

Ale w chwilach paroksyzmu silniejszego wiara jego stawała się jeszcze więcej niesprawiedliwą i bluźnierczą.

— Sam chciałeś tego, Chrystusie! sam chciałeś!—bluźnił z gorącemi łzami w oczach.

Pewnego wieczora, gdy Blanka sądziła, że ojciec wyszedł na miasto, przechodząc około drzwi kaplicy, usłyszała jęki i słowa gniewne.

Podeszła i przez uchylone drzwi kaplicy spostrzegła ojca klęczącego z rękami zarzuconemi na szyję Chrystusa; skarżył się na swe cierpienia, prosił, bluźnił, przeklinał Boga — to znowu żałował i błagał o przebaczenie za niesprawiedliwe i bluźniercze zniewagi. Groził przywiązanemu do słupa Chrystusowi karą, jeżeli nie wygra sumy grubej..

Blanka, przerażona widokiem tego szału bluźnierczego, uciekła do swego pokoju, zamknęła się w nim i przez całą noc modliła się, błagając Boga o litość nad obłąkanym starcem.

Odtąd zamykała się każdej nocy, ażeby uniknąć nalegań ojca, mówiącego o widmach jak o osobach żywych i trzymającego ją w przerażeniu bezustannem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Czerlańskiej. Drukarnia narodowa Stanisław Maniecki i Spółka — Lwów, ul. Kopernika l. 9.